

W numerze: Od depresji do standardu światowego • Komu Panoramę? • Podmiejskie zabawy • Między prawdą a chlebem • Muszę umrzeć przed północą • Wiersze • Felietony • Recenzje • Polonica

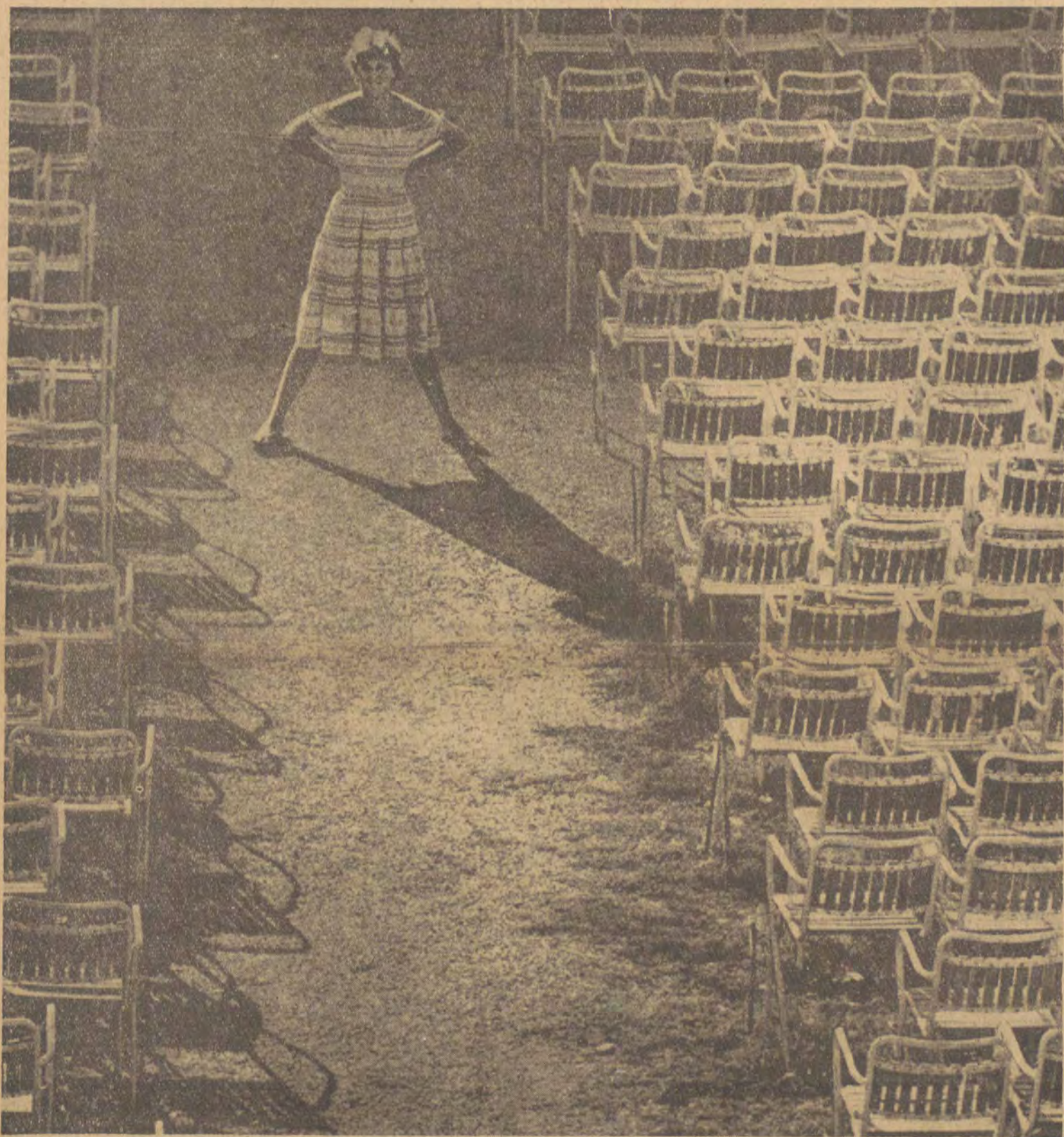
odątkosy



Nr 30 (356)
10. X. 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK

ROK VIII



Fot. Edward Hartwig

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Rzecz o MARII -konduktorce

Noc jeszcze. Kilkanaście minut po trzeciej. W bazie przy ulicy Tramwajowej robi się ruch. Ludzie w ciemnych uniformach, stłoczeni w małe grupy, drżą od chłodu; zabijają ręce, kulakami ocierają z oczu sen.

Motorniczy jakiś przeciągnął papierosa, więc ciska go o ziemię i w zapamiętaniu rozdeptuje nogą. Klinie. Chłopak przyszczyta z torba bileciarza gwizdże przeraźliwie coś z Beatlesów; fałszuje przy tym, aż niektórych ścisła — śmieja się jęni. Z odległych krańcówek wagony służbowe wciąż dowożą tramwajarzy. Zerzyta koła na zakrętach, grają sygnaly. Jest coraz tłoczniej, głośniejsze i widniej; zaczyna się — ciężki dzień.

I.

Kobieta taka — niemłoda, niestara, pewnie: posiwiata przedwcześnie, a na imię jej Maria i jest matka, i wdowa — drzemie wciśnięta w kat wagonu; tramwaj pusty jeszcze, na krańcówkę jedzie; może spać.

Już tam, od Radiostacji, wagony zaczyna zabierać ludzi. Będą to najczęściej włóczęgi rozpoczynający pracę rano. Z nimi Maria się nie zmeczy. Nie są głodni. Ani kłóliwi. Oszczędzają energię, nerwy i czas.

Maria widzi już tych pierwszych. Kiedy przetnie im abonamenty — opadną na ławki i będą dosypiać, a kiedy ławek z biegiem czasu zabraknie, potrafią drzeć na stojaka, kurczowo uczeni uchwytów; twarze mają nijakie, głowy ciężkie, trudno ich spać i odróżnić.

Ale Maria pracuje w różnych porach nocy i dnia. Na wielu trasach. Zna to miasto, jak nikt, i ludzi zna niezgorzele. Ma swoje ulubione linie — choćby taka „ósemka” lub „dziewiętnastka” — i ulubione godziny. Ma też swoje antypatie. Wie na przykład, że „dwójka”, na której wypadło jej dziś, nie należy do najlepszych. Teraz jeszcze jest spokojnie. Czas odmierza przystankami. Biletów prawie nie sprzedaje. Tnie abonamenty. Jeśli przystanek ma dwieście metrów, to sto metrów tnie, a sto odpoczywa przymykając oczy. I dzieli tak każdy odcinek drogi.

Dalszy ciąg na str. 4

ZOFIA LORENTZ

POLOWANIE Z NAGONKĄ

Zagadnienie przestępczości nieletnich ciągle jeszcze tkwi w centrum naszych zainteresowań i trosk ogólnokrajowych, mimo że zdołaliśmy się wreszcie uporać z rozpoznaniem jej przyczyn.

Do niedawna jeszcze próbowaliśmy to negatywne zjawisko społeczne sprowadzić wyłącznie do pozostałości po kapitalizmie, jednak samo życie przekonało nas, że i w naszych warunkach społecznych zachodzą procesy, których konsekwencją jest między innymi przestępczość nieletnich. Po obaleniu poprzedniej, jakże ciasnej teorii, otworzyły nam się oczy na rzeczywistość i nastąpiło rozeznanie:

...wielki rozwój techniki, szybkie przemysłowe kraje, przyspieszone tempo życia, cała dzisiejsza cywilizacja material-

na, różnorodność problemów społecznych i moralno-etycznych powoduje... Albo: w skutkach ludności napływającej do miast następuje rozpad tradycyjnych więzi społecznych i norm, które obowiązywały w po przednich środowiskach. Na tle tego rozpadu rozwijają się patologiczne formy zachowania. Patologiczne, to znaczy aspołeczne, niezgodne z obowiązującymi normami zarówno z prawnego punktu widzenia, jak i z punktu widzenia etyki, moralności, obyczajów, tradycji i zwyczajów...

Czyli... procesy nieodwracalne. A jeśli dodamy do tego alkoholizm i ciasnotę mieszkaniową (Łódź należy w Polsce do miast o największym zagęszczeniu), bo na 1 km kw. przypada ponad 3.400 mieszkańców, będziemy mogli sobie powiedzieć, że zagadkę przestępczości nieletnich mamy rozwiązana.

Teraz z kolej wypadałoby podać trochę cyfr. Proszę bardzo, oto one (zaczepnięte z nadesłanego do redakcji przez MO i Łódzki Komitet Frontu Jedności Narodu stenogramu pewnej ważnej konferencji w sprawie problemów wychowania dzieci i młodzieży oraz zapobiegania i zwalczania przestępczości wśród nieletnich).

„Analiza przestępczości na terenie m. Łódź za okres dwóch lat — 1962 i 1963 wykazała, że w podstawowych kategoriach przestępstw kryminalnych procentowy udział nieletnich i młodzieży do lat 21 jest następujący:

we włamaniach do obiektów uspołecznionych — 81,2 proc.,

we włamaniach na szkodę osób prywatnych — 72,5 proc.,

w kradzieżach mienia na szkodę osób prywatnych — 53,3 proc.,

w rozbojach — 42 proc.

Wprawdzie w Łodzi od szeregu lat notujemy spadek przestępstw, ale spadek ten jednak nie dotyczy udziału nieletnich i młodzieży.

Ładna historia, co? A można by jeszcze inaczej: Jak to, więc uchwalony w dniu 22 maja 1958 roku i wprowadzony w życie projekt ustawy o zaostrzeniu odpowiedzialności karnej za chuligaństwo nie pomógł?

Pomógł, owszem, ale chuligaństwo to tylko jedna forma przestępczości nieletnich. Nie zawsze przecież ten, kto bierze udział w rozboju i włamaniu jest chuliganem i odwrotnie.

A więc? Więc, dokonaliśmy jeszcze jednego odkrycia: że sama milicja, prokuratura i sąd nie rozwiązały problemu przestępczości nieletnich. I wtedy właśnie, a był to rok 1962, po raz pierwszy padło słowo: profilaktyka przestępczości. Innymi słowy: zapobieganie przestępczości poprzez udział najszerszych kręgów społeczeństwa w łącznej akcji wychowawczo-profilaktycznej rad narodowych, Kuratorium szkolnego, organizacji Frontu Jedności Narodu

i organizacji młodzieżowych. Gdy dodamy do tego jeszcze współdziałanie organizacji opieki społecznej, T-wa Przyjaciół Dzieci i Ligi Kobiet, a wszystko to w powiązaniu z milicją i Sądem dla Nieletnich, niewtajemniczony czytelnik może dostać zawrotu głowy. I powie, gdy mu na dodatek podamy, że np. w roku 1963 do Sądu dla Nieletnich w Łodzi wpłynęło 2.360 spraw, a 5.674 dzieci było objętych nadzorem opiekuńczym — po co ten wielki krzyk? Na prawie milionowe miasto 8.000 młodocianych moralnie zaniedbanych, czy to tak dużo? Czy angażowanie do akcji profilaktyczno-wychowawczej aż tylu instytucji nie przypomina polowania kilkudziesięciu myśliwych w czerwonych frakach na jednego jedynego lisa?

Trochę tak, ale stare przysłowie mówi: strzeżonego pan Bóg strzeże. Bo, cóż z tego, że do Sądu dla Nieletnich w Łodzi wpłynęło tylko 2.360 spraw, skoro nie wiemy, ile takich albo podobnych spraw nie wpłynęło? Cóż z tego, że w tymże samym roku tylko 5.674 dzieci było objętych nadzorem opiekuńczym, a ile było nie objętych nadzorem?

Wprawdzie dziecko moralnie zaniedbane, to jeszcze nie przestępca, ale w większości wypadków — kandydat na przestępcę.

Dalszy ciąg na str. 5



Z dala od najbardziej aktualnych punktów zainteresowania światowego rozegrał się w ostatnich dniach pewien epizod, który może mieć poważne następstwa. Mam na myśli rezolucję Izby Reprezentantów USA, wywołującą się za jednostronną interwencją w Ameryce Łacińskiej, wszędzie tam, gdzie istnieje chociażby tylko „groźba opanowania jakiegokolwiek kraju w drodze akcji wywrótowej”. Wówczas — zdaniem Izby — można „podjąć kroki, zmierzające do zapobieżenia temu opanowaniu lub też do zwalczania go”.

Dokument niższej Izby Kongresu nie jest rewelacją. Ostatecznie taka właśnie — żeby powołać się chociażby na przykład Dominikanę — jest obecnie waszyngtońska praktyka. Jednak usankcjonowanie jej we wspomnianej formie musi niepokoić jeszcze bardziej.

„Był okres — przynajmniej „New York Times” w artykule pod znamienym tytułem: „COFANIE WSKAZÓWEK ZEGARA” — kiedy deklaracja tego rodzaju brzmiałaby normalnie. Było to z początkiem bieżącego stulecia, kiedy prezydenci amerykańscy w ramach niemalże normalnej procedury wysyłałi pismo do krajów rejonu karaimskiego i krajów Ameryki Środkowej dla ochrony prywatnych inwestycji, odbierania długów, karnania bandytów i utrzymywania porządku. Jednakże doświadczenia, jakie Stanom Zjednoczonym przyniósł ten rodzaj imperializmu, wykazały, że więcej problemów stworzył on, aniżeli rozwiązywał...”

A więc nawet z północnoamerykańskiego punktu widzenia rezolucja budzi zastrzeżenia i określana jest jako „najgorsza, od dłuższego czasu”. A co dopiero w krajach, których dotyczy?

W rejonie, który J.F. Kennedy nazwał najbardziej krytycznym rejonem świata?

Nie muszę dodawać, jak tam przyjęto tę niesłychaną uchwałę. Z tym większym więc zainteresowaniem obserwowana będzie — ustalona ostatecznie na dzień 17 listopada — konferencja ministrów spraw zagranicznych OPA.

Zgodnie z kartą tej organizacji, konferencje takie powinny być zwoływane co pięć lat, jednak pierwsza i ostatnia do tej pory odbyła się w 1954. roku w Caracas. Odtąd brakowało odwagi, by dyskusować o otwarcie wzajemne problemy USA — kraje Ameryki Łacińskiej.

Co będzie teraz? Jak wynika z doniesień agencji, Departament Stanu przekonuje podobno przedstawicieli wspomnianych krajów, że od początku był przeciwny tej rezolucji. Jest to jednak typowa „bajeczka dla grzesznych dzieci”.

Sądząc, że administracja Johnsona — jak to już rozpoczęła sprawa panam-

ską — będzie chciała w najbliższym czasie zarządzić w sprawie jakiejś wywołanej rezolucją Izby Reprezentantów. Fakty jednak pozostaną faktami.

Skoro już o faktach mowa — musimy odnotować pewien wzrost niepokojów w sprawie kaszmirskiej. Ostrożność, z jaką w poprzednim komentarzu pisałem o rozjemstwie („ucisze nie konfliktu”, znikądowanie jego „ostrej formy”) okazała się być uzasadnioną.

Dochodzi bowiem do potyczek między oddziałami indyjskimi i pakistańskimi, a merytoryczne rozwiązanie problemu — przynajmniej w chwili, gdy piszę te słowa — nie posunęło się naprzód. Obie zainteresowane strony pozostają przy swoim, nie do pogodzenia, zdaniu i trzeba będzie wielu wysiłków, by po 18 latach trwania problemu definitywnie go rozstrzygnąć.

Nie można odnotować także jakiegoś postępu i w drugim zapalnym punkcie — Wietnamie.

Stany Zjednoczone uparcie zwiększają tam liczebność swoich wojsk, co może wskazywać, że nadal prestiż przedkłada się przed rozsądek. Jak błędne jest przypuszczenie, że na drodze militarnej można cokolwiek osiągnąć — niechaj ilustracja tego będzie przesłanka Waltera Lippmanna, który w jednym z swoich artykułów stwierdza, że aby wygrać wojnę z Wietkongiem trzeba by wysłać milion amerykańskich żołnierzy!

A więc, jakie perspektywy rozwiązania problemu? Oczywiście, negocjacje. „Drojdziemy do tego rozwiązania — mówił w wywiadzie dla „Sunday Times” prem. Kosygin — to jest nieuniknione, ale poprzez trupy i spalone wioski, i ostatecznie wrócimy do porozumień geneuewskich”.

Przekonanie to wyraził na sesji Zgromadzenia NZ również francuski min. spraw zagr. — Couve de Murville, podkreślając, że rozstrzygnięcia problemu wietnamskiego musi towarzyszyć zasada niezawisłości, neutralności i niemieszania się w sprawy wewnętrzne.

I jeszcze raz — Azja. Z Dżakarty napłynęły wiadomości o podjęciu tam próbie zamachu stanu przeciwko Radzie Generalnej, próbie uzasadnionej koniecznością likwidacji spisku prawicowych generałów. Nie znam jeszcze rozmiarów tego spisku i jego powiązań. Nie jest jednak wykluczone, że określone siły chciały zawrócić Indonezję z jej drogi. Niewątpliwie najbliższe dni wyjaśnią sytuację.

Z zadoleniem chciałbym w dzisiejszym komentarzu odnotować zapowiedzianą na 14-16 października państwową wizytę w Polsce prezydenta Republiki Włoskiej — Giuseppe Saragata.

Wizyta ta potwierdza coraz powszechniejszą w świecie opinię, że Polska stała się ważnym czynnikiem polityki europejskiej.

Komentatorzy zagraniczni, nawiązując do powyższej zapowiedzi, zwracają uwagę, że podróz Saragata „mieści się w dziedzinie odprężenia” oraz przypominają, że prezydent Włoch w ostatnim okresie wykazuje dużą ruchliwość, odwiedził już Norwegię, Niemcy Zachodnie i Amerykę Południową.

W. ŚLAWSKI

Kronika Tygodnia

NIEDZIELA
26 września

♦ Dziennik „Mondé” zamieszcza wiadomość na temat zacieśnienia kontaktów kulturalnych ChRL z Francją, W. Brytanią i innymi krajami Europy zachodniej. Do Francji uda się w bież. roku 200 studentów chińskich oraz — po raz pierwszy — 10 pracowników naukowych, głównie fizyków i matematyków. W ciągu roku liczba studentów chińskich we Francji ma być podwojona. W W. Brytanię będzie studiować ponad 50 studentów chińskich, natomiast wyższe uczelnie angielskie przyjmą 6 chińskich pracowników naukowych z dziedziny aeronautyki, metalurgii i medycyny.

♦ Zeminziłpao zamieścił artykuł, w którym ostrzega Indie, że „choć oddziały indyjskie, które pogwałciły terytorium Chin usiekiły w panice z granicy ChRL z Sikkim, to jednak sprawa nie jest jeszcze rozwiązana”. Artykuł stwierdza dalej, że „India nadal okupuje duże obszary terytorium chińskiego w sektorach wschodnim, środkowym i zachodnim chińsko-indyjskiej granicy... Sprawa ta musi być rozwiązana”. W artykule stwierdza się, że Indie „jak dotąd, nie zwróciła jeszcze Chinom porwanych mieszkańców, ani też bydła, które zagarnęła”.

ŚRODA
29 września

♦ Zdaniem kompetentnych obserwatorów — pisze korespondent Reutera z New Delhi — India, być może już w ciągu roku, dokona eksplozji atomowej, mimo że oficjalna polityka nadal zakłada, iż energia jądrowa w Indii będzie wykorzystywana wyłącznie

PONIEDZIAŁEK
27 września

♦ Na porządek dzienny dorocznej konferencji Labour Party wniesiono, m.in., problem przyszłości młodzieżowej organizacji labourystowskiej — mianowicie Młodych Socjalistów. Przywódcy labourystowskiej — jak podaje Times — podejmą jeszcze jeden wysiłek, zmierzający do odebrania tej młodzieżowej organizacji labourystowskiej wszelkich możliwości wyrażania bardziej radykalnych poglądów.

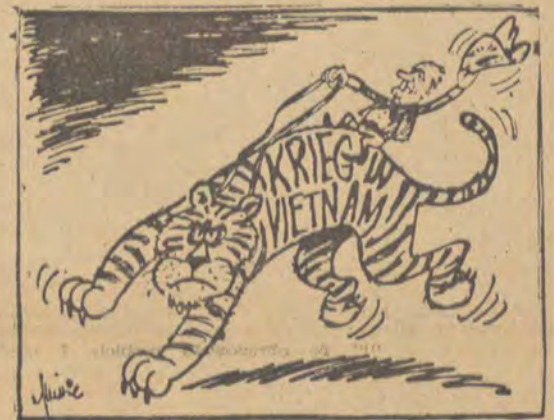
WTOREK
28 września

♦ 15 października br. szwedzka Akademia ogłosiła nazwisko pisarza którego przynależą tegoroczna nagroda literacka Nobla. Przy tej sposobności, wielu krytyków podkreśla, iż

♦ Podczas dyskusji nad schematem XIII, na odbywającym się soborze watykańskim, kardynał Maksimos IV, patriarcha Antiochii, wystąpił przeciwko potępieniu ateizmu. Stwierdził on, iż samo potępienie ateizmu na nic się nie zda, że należy potępić to, co leży u jego źródła, a mianowicie błędy chrześcijan, którzy nie żyją zgodnie z przykazaniami wiary, którzy bronią swego bogactwa, którzy stosują wyzysk człowieka przez człowieka. Ludzie ci budzą oburzenie wśród szczytów ateistów. Prawdziwy socjalizm jest integralnie oddziaływaniem chrześcijaństwem — powiedział patriarcha Antiochii.

PIATEK
1 października

♦ New York Times, w artykule pióra H. Schwartza, m.in.: „Oświadczenie prezydenta w sprawie MOL (projekt krążącego po orbicie laboratorium z załogą ludzką) zostało złożone w momencie, kiedy Związek Radziecki publicznie atakował lot Gemini 5, wskazując, że jest to przede wszystkim impreza mająca na celu szpiegostwo wojskowe. Podkreślając potencjalne wojskowe znaczenie kosmosu, prezydent potępił kres, być może ostatecznie, wszelkim nadziejom na realizację wspólnego, radziecko-amerykańskiego programu umieszczenia człowieka na Księżycu, albo też wysłania go na jeszcze dalszą planetę w systemie słonecznym. Najpoważniejsze znaczenie ma to, że Związek Radziecki i jego sojusznicy interpretują decyzję o powołaniu do życia



Jedziem panie Zielonka!... („Frankfurter Rundschau”)

KOMU PANORAMĘ?

A więc mamy wreszcie od lat oczekiwany dyskusję. Ogólnonarodowa, prawdziwa, nieklamana, ani ustalana z góry. Obserwujemy jedyny w swoim rodzaju turniej miast, Kielce, Warszawa, Szczekocin, Kraków, Wrocław, Olsztyn polityka się na łamach „Polityki” w sprawie, która warta jest około 20 milionów złotych i jeszcze coś. To jeszcze coś — to olbrzymich rozmiarów plakat, największy obraz w dziejach malarstwa polskiego, a może i światowego — Panorama Racławicka. W. Kossaka, J. Styki i M. Wywiórskiego. Największa, co nie znaczy, że ilość przeszła w dyktando w jałkość. Panorama leżała sobie w spokoju dobrych lat piętnaście we Wrocławiu i nikt się nią nie interesował, no a teraz jedno po drugim interesują się nią, patriotycznie, kto lepszy, kto godniejszy, pod czyją gruszką zalatwiał pewne sprawy Kościuszkowski, gdzie w końcu ma Panoramę wisieć.

Łódź nie zabrała jeszcze głosu w tej pasjonującej dyskusji, ale Łódź także jest patriotyczna i wie, że jej głosu zabraknąć nie może. Albośmy to jacy tacy!

Najpierw musimy się ustosunkować do dwóch podstawowych koncepcji, jakie — z grubsza biorąc — wysunęły dotąd poszczególne miasta. Pierwsza z nich jest bardzo prosta. Chodzi o to, że wielkie dzieła powinny wisieć w miejscu wydarzeń, które przedstawiają, albo przynajmniej wiązać się ze szlakiem bojowym malowanych bohaterów. Kraków powiada — u nas i tylko u nas, na krakowskim rynku stał Naczelnik przysięgły, od tego się

wszystko zaczęło. Chyba Warszawa, niechciana miastu Stefana Otwinowskiego, radzi podstępnie wieszać w Kielcach, niech sobie malorolnicy oglądają Panoramę po pracy, byle tylko nie krakawery. Szczekocin także argumentują potężnie — przecież to u nas, zaraz za rzeką bil się Kościuszkowski, a w rynku naprzeciw knajpy stoi pomnik Naczelnika, dawajcie Panoramę do nas. Zapewne, jest trochę racji w stanowisku Szczekocina. Nasze wojska dostały tam rącej w skórę, choć bardziej patriotycznie historycy twierdzą, że bitwa była remisowa, no, ale Panoramę z pewnością przechyliłaby szalę opinii na rzecz Polaków i milibyśmy jedno zwycięstwo więcej.

Dziwi trochę stanowisko Kielca. Oddają Panoramę Wrocławowi. Przedstawiciel Kielca sugeruje przy tym, że klasa robotnicza z Pafawagu, która pracuje na eksport z pewnością będzie wolała Panoramę niż wrocławską pantomimę. Nie wiemy, może. Wiemy natomiast, że w Kielcach przy ulicy Kościuszkowski, obozował Kościuszkowski, upamiętniony kamieniem. Naczelnik niczego w Kielcach nie wygrał, ale i nie przegrał, więc tam mogłaby wisieć Panorama.

Sęk w tym, że ta koncepcja wiązania obrazu z miejscem, które przedstawia, jest fałszywa. Bitwę pod Grunwaldem można przemieścić do Grunwaldu i jakoś to będzie. Ale co zrobić z Batorem pod Pskowem, Lisowszczykami nad Renem, Czarneckim w Danii?

Druga koncepcja również jest prosta. Panorama może wisieć wszędzie. Kopernik nigdy nie był w Warszawie, a jednak ma tam jakiś taki pomnik, niczego pewnego nie wiadomo o pobycie Nike na Ziemniach Polski, a jednak możemy podziwiać Nike na Placu Teatralnym w stolicy. Dobrze odłany, bohater zawsze prezentuje się ładnie, pod

warunkiem, że wybierzemy mu od powiednie miejsce. Nie inaczej z dziełem sztuki malarskiej, jeżeli posiada właściwą oprawę. W tym miejscu dochodzimy do smutnego wniosku — ta druga koncepcja też nie jest realna. Wyczytaliśmy bowiem w „Polityce”, że pawilon dla Panoramę ma kosztować około 20 milionów złotych. Wydatek w sam raz dla Szczekocina, Racławic, a nawet Kielca.

Z tego powodu, znaczny z powodu tego wydatku, nie możemy zgłosić kandydatury Łodzi, nie mamy jeszcze pawilonu za 5 milionów dla kilkuset żyjących artystów. A szkoda, bo Łódź pasuje jak ulał do Panoramę. Posiadamy ładny pomnik Kościuszkowski na Placu Wolności, ładniejszy od szczekocińskiego, ba, na wet ładniejszy od upstrzonego przez wrony i gołębie Naczelnika, który siedzi na koniu przy wejściu na Wawel. Mamy także ładną ulicę Kościuszkowski i jedną płaskorzeźbę na domu mieszkalnym, mamy również robotników pracujących na eksport, którzy, być może, będą woleli Panoramę od pantomimy, tylko pieniądze, tych właśnie 20 milionów złotych nie mamy. Ostatnie wolne pieniądze wydaliśmy na budowę Teatru Narodowego. Chociaż... czekajcie państwo! A gdyby tak Panoramę zawiesić w obszernej pomieszczeniach, bądź co bądź, Teatru Narodowego? O cóż jeszcze może przy takiej koncepcji chodzić? O to, że Panoramę nie jest znowu takim arcydziełem? Prawda, nie jest. No, ale jaką mamy pewnością, że Łódźki Teatr Narodowy będzie pokazywał same arcydzieła? Głosujcie na Łódź!

Wiesław Janusz

nie dla celów pokojowych.

♦ Ministerstwo Obrony Narodowej Meksyku ogłosiło komunikat informujący, że „grupa około 30-40 agitatorów zaatakowała posterunek wojskowy w stanie Chihuahua, w północnym rejonie Meksyku. W starciu zginęło 8 napaśników i 5 żołnierzy. Wojsko ściga pozostałych członków grupy, którzy schronili się w górach”.

♦ Były wydawca zachodniemiecki, Helmut Cramer, który specjalizuje się głównie w publikowaniu książek sławiących „wojenne czyny” formacji SS, udzielił wywiadu kairskiemu korespondentowi DPA. W wywiadzie „Cramer oświadczył, iż dysponuje obszernym materiałem dowodowym, potwierdzającym udział w zbrodniach hitlerowskich wielu prominentnych polityków, prawników, publicystów i dyplomatów Republiki Federalnej. Cramer, jak przypomina agencja, znajduje się obecnie w Kairze, dokąd zbiegł z NRF, kiedy prokuratura zachodniemiecka wszczęła przeciwko niemu dochodzenie karne za działalność zagrażającą państwu”.

CZWARTEK
30 września

♦ Wszystkie dzienniki polskie zamieszczają obszerny sprawozdanie z konferencji prasowej z byłym wiceprezydentem Republiki Chińskiej, wybitnym działaczem Kuomintangu, Li Tsung-jenem, który powrócił do ojczyzny po 16-letniej nieobecności. Na konferencji było obecnych ponad 300 dziennikarzy, w tym 61 dziennikarzy brytyjskich, niemieckich, japońskich, francuskich, zaproszonych specjalnie z tej okazji z Hongkongu do Pekina.

MOL, jako rzucone przez Amerykę hasło do rozpoczęcia wyścigu zbrojeń w kosmosie”.

♦ Zeminziłpao w artykule wstępny określa przeprowadzone obecnie w ChRL zmiany w zarządzaniu przedsiębiorstwami państwowymi, jako zasadnicze wydarzenie dla rozwoju produkcji przemysłowej. Zmiany te mają na celu zlikwidowanie biurokratycznych, metafizycznych i scholastycznych metod zarządzania oraz ustanowienie nowego, naukowego systemu kierowania, w myśl zasad socjalistycznych i specyficznych warunków chińskich.

SOBOTA
2 października

♦ W poniedziałek 4 października, przybywa do Nowego Jorku papież Paweł VI, gdzie spędzi 13 godzin. Towarzyszy mu ok. 20 kardynałów i innych osób z duchowieństwa. Policja nowojorska zmobilizowała już 26 tys. funkcjonariuszy dla ochrony papieża. Niemal cały jego pobyt w Nowym Jorku ma być transmitowany przez telewizję, a komenda policji nowojorskiej zaapelowała do mieszkańców miasta, żeby śledzili pobyt papieża raczej na ekranach telewizorów, aniżeli bezpośrednio na ulicach. Naza jutrz, we wtorek 5 października, papież Paweł VI odleci z powrotem do Rzymu.

♦ Przemawiając na posiedzeniu konferencji Labour Party, brytyjski minister spraw zagranicznych wystąpił z apelem pod adresem ministra Gromyki, aby wspólnie z nim podjął wysiłki, w celu zwolnienia konferencji w Genewie, na której rozpatrzono by problem pokojowego rozwiązania wojny w Wietnamie.

FELIKS BABOL

OD DEPRESJI DO STANDARDU ŚWIATOWEGO

To w tych dniach łódzki „Próchnik” obchodził czwartą rocznicę wielkiej katastrofy: w 1961 roku odwróciło się od fabryki powodzenie, każdy klient nabierał wagi złota, a przed ponad tysiącną załogą stało widmo zwolnień. Bo już cztery lata temu stało się jasne, że jeżeli nie ma odbiorcy na to, co się robi — to cała produkcja diabła warta. I tak właśnie było.

Dyrektorzy „Próchnika” prosili na Targach Poznańskich dyrektorów MHD, CDT. Spółem, prosili handel większy — wzięli chociaż ze sto „próchników” — jestonek czy płaszcz. Z tej ciężkiej wówczas sytuacji wyratował „Próchnika” dyrektor warszawskiego WZGS, który odważył się zamówić pewną niewielką partię towaru. To niewielkie zamówienie było już pewną otuchą...

Ale przecież przejście z pozycji „ludzi na dnie” do pozycji potentatów, z którymi liczy się i kraj, i eksport, stanowiła cała historia w dziejach „Próchnika”, cały rozdział w przeszłości rady robotniczej i kierownictwa fabryki. Jest to historia poprzedzająca zdobycie przez fabrykę znaku najwyższej jakości i historia niepowtarzalnego przełomu. To pewnie, że widmo poważnego zmniejszenia produkcji (bo po co robić, jak nie ma komu sprzedać?) stało się bodźcem wspierającym działanie ludzi z kierownictwa i samorządu fabrycznego, ludzi świadomych powagi sytuacji. Jeśli nie, powszechnym tematem dnia było pytanie: co robić, aby się nie dać zepchnąć na margines? — przewodniczącemu rady robotniczej i samej administracji łatwiej było w rozmowach z zespołami i mistrzami mówić o tych trudnych sprawach zupełnie otwarcie. W ciężkich bólach rzecz by można, powstałby cały program zmian. Załóżcie najpierw wytłumaczone, że bez wzmożonego wysiłku nie będzie żadnej poprawy, że po to,

aby rynek zainteresował się produkcją „Próchnika” trzeba wyjść z nowymi wzorami, i to z dużą ilością wzorów. Przewodniczący rady robotniczej, Dudkiewicz, przypomina te dzieje:

— Zestawialiśmy się co może chwycić. Powiedzieliśmy ludziom, że musimy zbliżyć nasze modele do modeli włoskich i francuskich, urozmaicić je własnymi wzorami. Powiedzieliśmy też, że sprawa jest trudna, że ludzie muszą dać z siebie maksimum wysiłku. Tak dostawiliśmy sprawę na zebraniu rady robotniczej. Ludzie wiedzieli, co to znaczy; znaczy to, że przez jakiś czas nie będą wiele zarabiali, że będą musieli ponieść pewne ofiary, żeby wydzignąć fabrykę z depresji, w jakiej się znalazła. Ale dodaliśmy, że to nie będzie trwało wечно; gdy nowe modele chwycą, załoga odetchnie, a straty w okresie wprowadzania nowych artykułów na rynek szybko się wyrównają. Tak było cztery lata temu...

Okres poprzedzający zdobycie jedynki w trójkacie, czyli znaku najwyższej krajowej jakości płaszczu męskich był okresem, w którym musieli zdać egzamin wszyscy: nowa technologia produkcji, kierownictwo fabryki i cała załoga.

Stworzono własne wzornictwo z własnymi plastykami i modelarzami, zorganizowano sprawnie przenoszenie modeli na taśmy produkcyjne, wprowadzono nowe maszyny specjalne (podszycarki, rekawówki, przyrządy do formowania kształtów odpowiadających kształtom antropometrycznym mierzonego klienta). W tym okresie też trzeba było nieco zróżnicować fasony na kraj i na eksport, a przede wszystkim uczynić zdecydowany krok, jeśli chodzi o sam system produkcji.

Dla wszystkich bowiem stało się jasne, że system taśmowy, który, w stosunku do stosowanego całymi latami systemu rzemieślniczego, był olbrzymim postępem technicznym — teraz nie zdaje już egzaminu. Żądało się nowego systemu, jeszcze doskonalszego, w którym poszczególne zespoły specjalizowałyby się w obróbce elementów płaszcza po to, aby można było uzyskać większe możliwości w urealnianiu fasonów, lepszą kontrolę roboty na poszczególnych etapach produkcyjnych, aby podniosła się jakość.

I ten system wprowadzono u „Próchnika”, opierając go na zgodzie między grupami obróbkowymi — co nazywa się systemem potokowym połączenia z zsynchronizowanymi gniazdam.

Trzeba było zmienić dodatki, zastosować ładne podpinkę (pamiętacie ten okres bitwy w łódzkich sklepach o płaszcz „Próchnikowski” z podpinkami?), a przede wszystkim szybko zastosować u siebie to, co w całym przemysle odzieżowym wprowadzono jako eksperyment: zmianę mierników oceny produkcji. Ustalono, że wartość tkaniny nie powinna mieć znaczenia, jeśli cho-

dzi o jakość wykonanej odzieży. Istotną jest praca włożona w krojenie, uszycie i wykończenie płaszcza, a nie to, czy płaszcz jest z setki czy z zerówki. Pociągnięto to za sobą żmudną pracę nad obliczeniem pracochłonności lezonej w minutach. Na płaszcz np. trzeba około 1000 minut ludzkiej pracy.

Tak również zaczęły się przemiany w ludzkiej psychice, w stosunku do przedmiotu pracy. Chodziło już teraz o to, aby jednostki roboty wykonać jak najlepiej, i to w jak najkrótszym czasie. Bo od tego również zależał zarobek. Ludzie z rady robotniczej nauczyli się właściwie rozwiązywać skomplikowane problemy, które w każdej fabryce następująca wielu kłopotów. Przyszła np. pewnego dnia kobieta ze skargą na maistra, gdyż przeniósł ją do innej pracy.

— Tam mniej zarobię — mówiła robotnica.

I samorząd musiał to rozwiązać. Zbadano sprawę. Okazało się, że robotnica hamowała robotę całego zespołu. Zespół tracił na tym wiele, traciła fabryka, gdyż do harmonijnego współdziałania w grupie zabrakło owej robotnicy i zreczności, i dostatecznej uwagi. Oto problem: z jednej strony strata zarobku jednego człowieka, który na nowym miejscu trochę mniej zarobi, z drugiej — strata całej reszty zespołu, któremu ten jeden człowiek psuł szyki i opóźniał robotę.

W okresie, gdy było źle, ludzie przekonali się też do idei dalszego kształcenia się, zdobywania wiedzy zawodowej. Załoga doszła do wniosku, że nie będzie lepszej produkcji jeśli nie opamięta się obsługi nowych maszyn i urządzeń, jeśli nie podniesie własnych kwalifikacji. Ci zaś, którzy nie mieli jeszcze szkoły podstawowej, poczuli się w tym właśnie okresie nawet rumień-

— Jeden tylko z tej grupy — wspomina przewodniczący rady robotniczej — jakoś tego nie rozumiał. Więc prawie na siłę zemy został go do szkoły podstawowej, i czypano dać wiarę? W ubiegłym roku zrobił maturę jako technik-technolog odzieżowy. Nie zapomni chyba tego wysiłku, jaki włożył w pracę w szkole, a jak się cieszy naszą radą robotniczą?!

Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Gdy opanowano wreszcie problem ciągłości produkcji, gdy zamówienia zaczęły się sypać, a „Próchnik” nie mógł już prawie nadażyć z ich wykonywaniem, przedyskutowano sprawę eksportu.

Była to konieczność nie tylko ogólnogospodarcza, ale i konieczność dla fabryki. Przecież — jak mi tłumaczono — żeby utrzymać produkcję na wysokim poziomie, żeby ambicje załogi nie malały, trzeba było stworzyć jakieś nowe bodźce. Właśnie eksport stał się ich źródłem. Nie trzeba było doń nikogo przekonywać czy zmuszać. W ciągu

ostatnich kilku lat, gdy fabryka wyszła na szerokie wody, gdy prasa, radio i telewizja ustawicznie mówiły i pisały o „Próchniku” — w ciągu tych lat wzrosły zarobki w fabryce z 19.400 zł rocznie do obecnych ponad 23 tys. zł, a wartość produkcji na jednego robotnika z 32.418 zł rocznie do 47 tys.

Załoga przekonała się, że warto pracować lepiej. To przekonanie ułatwiło argumentację kierownictwu fabryki, gdy trzeba co parę dni wprowadzać nowe próbne modele, wymagające wielkiej pracochłonności, gdy szyje się partie próbne czyli tzw. informacyjne dla klientów zagranicznych.

— W tym okresie — mówi mi Dudkiewicz — wszyscy tracimy. Bo przy nowych modelach i fasonach wydajność leci na łeb, zarobki spadają, ale przecież rozumiemy to: po tych krótkich partiach informacyjnych mogą przyjść zamówienia na tysiące sztuk, na których fabryka znowu się odkuje.

I pokazuje zestawienie dotyczące historii eksportu do Anglii: najpierw zamówili 10 kurtek samochodowych z welny, potem wzięli — jakby dla sprawdzenia jakości — 30, a zaraz po tych przesyłkach przyszły zamówienia na 1100 kurtek.

W latach 1962-63 płaszcz od „Próchnika” odbył podróż do Libii, Adenu i Etiopii, w roku następnym — również do Anglii, Kanady i Tanganiki, a w bieżącym roku oprócz tych odbiorców pozyskano Liban, Afganistan, Jordanię, Gwineę i Islandię. Obecnie podróżuje po Kanadzie dyrektor naczelny „Próchnika”, oferując płaszcz z popeliny i z welny, które z pewnością również chwycą.

Wszystko więc wskazuje, że ofensywa na eksport uda się, podobnie jak ofensywa na rynek krajowy, na którym „Próchnik” nie tylko wysunął się na czoło, ale i dysponuje już zamówieniami dla innych fabryk nie będąc w stanie wszystkiego wykonać w terminie. Zresztą co mówią liczby: eksport całego roku ubiegłego zmieścił się w tym roku zaledwie w trzech pierwszych miesiącach. Ogółem jest to już czwarta część produkcji „Próchnika”.

W radzie robotniczej dzień upływa nie tylko na sprawach produkcji. W ciągu ostatnich kilku lat wystarano się o nowe mieszkania dla 69 pracowników, ułatwiono przystąpienie do spółdzielni mieszkaniowych ludziom, którzy zasługiwali swą pracą i sytuacją rodzinną na zesztyrk gwłódkę z funduszu zakładowego fabryki (płacono za nich 10 proc. wartości mieszkania, zostawiając im tylko 5 proc.), rada wspólnie z dyrekcją przeforsowała budowę bloku międzyzakładowego na Dąbrowie, w którym ludzie od „Próchnika” dostaną 15 nowych mieszkań, kupiono autokar, aby chętni mogli raz na tydzień wyru-

czyć „w Polskę”, wykupiono udział w domach czasowych w Uście, aby tym, którym najbardziej brakuje jodu, umożliwić pobyt nad morzem.

Przeglądam sprawozdania z tegorocznych posiedzeń rady robotniczej i KSR, w których jest wiele spraw mniejszej i większej wagi. A to nieporządek na klatce schodowej piętra, gdzie pracuje taśma ósma, a to brak wentylacji w niektórych pomieszczeniach, a to sprawa lepszego nadzoru nad pracą prasowni, gimnastyki w czasie krótkich przerw w pracy dla rozprostowania kości, butów roboczych i pończoch elastycznych, a to sprawa zagrzybienia części fabrycznego lokalu.

W tej fabryce, która z każdym rokiem staje się coraz wyraźniej po prostu rudera, jest wiele spraw uciążliwych, niełatwo w niej być ani robotnikiem, ani dyrektorem. Ale w sprawozdaniach z owych posiedzeń nie można znaleźć pewnej sprawy, o której powiedział mi na zakończenie rozmowy gospodarz zakładu czyli przewodniczący rady robotniczej, Dudkiewicz.

— Gdy przyszły nowe maszyny z NRE, które umożliwiły nam później w dużym stopniu osiągnięcie wysokiej jakości obróbki poszczególnych detali, powstało na salach całe zamieszanie. Wielu robotników wykonujących przedtem robotę przy tych detalach metodą tradycyjną, rzemieślniczą, przyszło do rady robotniczej, niepokojąc się o swą przyszłość. Czy nie stracimy roboty? — pytali. Musieliśmy ich zapewnić na nowo, że technika nie oznacza rugowania ludzi z ich miejsc pracy. A tyle przecież nawyższaliśmy się tych problemów jeszcze zanim te maszyny zamówiliśmy...

— Czy w ogóle nie zwalnialiście ludzi?

— Wolimy zwiększać produkcję, aby utrzymać stan zatrudnienia. Lubię dzie przywiązał się mocno do zakładu, a tamten okres przed czterema laty zrobił w tej dziedzinie najwięcej. Bo człowiekowi wiąże trud, a nie łatwizna.

Kto by zresztą opuszczał taką fabrykę? W tym roku na 1000 osób podzielono prawie 2 miliony zł z funduszu zakładowego. Załoga jest mocno ustabilizowana. Już dziś też wie na przykład, że za lat pięć będzie robić o 33 proc. więcej, że eksport wzrośnie do 50 proc. całej produkcji, ale wierzy, że tego dokona bez przyjmowania nowych ludzi. Bo uwierzyła w technikę, która wtargnęła w te stare, przedwojenne jeszcze mury fabryczne. Uwierzyła do tego stopnia, że z nikogo nawet nie dziwi, gdy z ust mistrzów, związkowców, czy przedstawicieli samorządu fabrycznego coraz częściej słyszy o jeszcze jednym ambitnym zadaniu: o dużej literze „Q”, w trójkacie, co jak wiemy oznacza standard wyższy niż najlepszy w kraju — standard światowy.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

ŁÓDZCY URZĘDNIICY W ŚWIETLE BADAŃ SOCJOLOGICZNYCH

Rozrost liczby pracowników administracyjno-biurowych jest wynikiem rozwoju przemysłowego, mechanizacji i automatyzacji oraz podnoszenia ogólnego poziomu wykształcenia. Zjawisko to obserwujemy na całym świecie i nie można go sprowadzać tylko do działania prawa Parkinsona (biurokracja rozmnaża kadre urzędniczą).

Sprawnie działającej „armii” urzędniczej wymaga dzisiejsza „mechanika” życia społeczno-ekonomicznego. Współdziałanie czynnika administracyjnego w tworzeniu dóbr materialnych i kulturalnych nie da się zaprzeczyć. Stąd rola aparatu administracyjno-biurowego staje się coraz większa, a jego kwalifikacje i sprawność działania współdecydują o wynikach rozwoju społeczeństwa.

Jaka jest kadra urzędnicza? Jak wywiązuje się ze swych obowiązków. Odpowiedzi na te pytania mają ogromne znaczenie.

Łódzka Pracownia Badań Socjologicznych PAN w latach 1959/60 zgromadziła drogą obserwacji, ankiet i wywiadów bogaty materiał

ilustrujący pozycję urzędników w społeczeństwie, ich ocenę własnej pracy, ustosunkowania się społeczeństwa do tzw. „aparatu biurokratycznego” itd. Zbrane dane stały się podstawą dla nader interesującej rozprawy doktorskiej Krystyny Lutyńskiej pt. „Pozycja społeczna urzędników w Polsce Ludowej”.

Pomimo pielęgnowania pracy materiałem statystycznym, pomimo „naukowego języka” i miejscami za włej terminologii, książkę czyta się jednym tchem. Wnioski autorki pobudzają do refleksji, osobistych skojarzeń i konfrontacji danych drukowanych z danymi, które posiada każdy czytelnik z własnej praktyki.

W świetle wypowiedzi urzędników widzimy jak wiele kompleksów, nie zawsze uzasadnionych żalów i różnorodnych pretensji do otoczenia nurtuje to środowisko. Zarazem uderza przede wszystkim bezkrytyczna postawa wobec siebie samych.

Autorka przy pisaniu pracy poza własnymi obserwacjami (kilka miesięcy przebywała w różnych urzędach)

rozporządzała 2617 ankietami i 525 kwestionariuszami wywiadów. Nadto posiadała 126 pamiętników, które napłynęły w 1958 r. na konkurs zorganizowany przez Zakład Badań Socjologicznych PAN. Ten materiał jest na pewno reprezentatywny dla łódzkiego środowiska urzędniczego. Natomiast mam poważne obawy, czy wnioski można rozciągnąć na tzw. „Polskę powiatową”, a nawet i na miasta wojewódzkie nie posiadające tak silnie jak Łódź skoncentrowanego przemysłu i wyższych uczelni.

Wadą materiału, którym rozporządzała dr Lutyńska jest daleko posunięty subiektywizm i liczenie się ankietowanych z tym, że odpowiedzi posłużą dla wyciągnięcia wniosków ogólniejszych. Zresztą sama autorka w kilku miejscach stwierdza, że „odpowiedzi nie zawsze były szczerze” (s. 27, 28, 190—191), dodałbym więcej, były często naiwne i bezkrytyczne.

Jeśli chodzi o łódzkie środowisko urzędnicze, to wyniki są rewelacyjne odnośnie do sprawy wykształcenia. Okazało się (dane z 1960 r.), że 57,3 proc. spośród 2617 ankietowanych nie posiada średniego wykształcenia, a tylko 9,6 proc. ukończyło studia wyższe. Równocześnie 42,2 proc. ogółu rozpoczynało naukę w różnych szkołach typu średniego i wyższego, ale studia przerwało. To ostatnie stwierdzenie sygnalizuje, że w społeczności urzędniczej jakże wielu jest ludzi, którym zabrakło wytrwa-

łości i hartu, by zaczęte studia kontynuować do dyplomu.

Faktycznie posiadany cenzus naukowy urzędników sprzyja więc kolportowaniu legendy, że dla pracy biurowej konieczne są praktyka i doświadczenie, a nie wykształcenie. Prawdopodobnie ten mit usiłują utrwalać przedwojenni urzędnicy szczerba wykonawczego, którzy szybko awansowali w Polsce Ludowej, a dziś zajmując stanowiska kierownicze odnoszą się z pogardą do dyplomów, lecz za to z przesyadym szacunkiem do formalistyki i obiegu papierków.

Wśród ankietowanych znaczną większość stanowili urzędnicy wykonawcy. Ich opinie i odpowiedzi były więc decydujące w sensie statystycznym. Znakomita większość „braci urzędniczej” uważa, że ciężkie warunki materialne, niskie wykształcenie i przypadek pchnęły ich na tory pracy biurowej. Później już trud no było zdecydować się na wybór innego zawodu. Swą pozycję społeczną określają urzędnicy bardzo nisko. Większość uważa, że nie tylko pozycja lekarza czy inżyniera jest wyższa, ale prymat nad sobą przyznają nauczycielom, technikom i majstrom. 30 proc. ankietowanych odpowiedziało, że pozycja społeczna krawca i robotnika jest wyższa od pozycji urzędnika. Lecz były także i odpowiedzi, zapewne różnych kierowników i naczelników, których autorzy siebie stawiali na szczytach drabiny społecznej (około 2 proc.). A więc tak

czy inaczej, ale czyżby kompleks niższości?

Charakterystyczne jest wysuwanie pretensji pod adresem społeczeństwa. Większość ankietowanych twierdzi, że ich praca jest niesprawiedliwie oceniana przez potentatów i dziennikarzy, natomiast dobrze przez instancje partyjne i nadrzędne ogniwa administracyjne (??). Równocześnie urzędnicy (w większości) uważają, że sami wywiązują się z obowiązków „dobrze”, „zadowalająco”, „pilnie”.

Skoro jest tak optymistycznie sąd o sobie, a pesymistycznie o potentatach, to nie można się dziwić, że prawie 50 proc. ankietowanych uchyliło się od udzielenia odpowiedzi na pytanie: „Co Pan(Pani) sądzi o krytyce prasowej urzędników”. Spośród zaś tych, którzy zdecydowali się na szczerotę, aż 23 proc. uważała krytykę urzędników, za przestępstwo i nadużycie gospodarstwa, za niesłuszną, a 19 proc. uzależniało tę krytykę od okoliczności, a więc traktowało jako częściowo niesłuszną. Natomiast 55 proc. spośród owej połowy, która odpowiedziała na wy mienione pytanie, uważa za słuszną krytykę prasową za powolność w załatwianiu spraw.

Nie chcę rozwodzić się nad narzekaniami na sytuację materialną i niższy jakoby od innych kategorii pracowników poziom płac. Mogą zainteresowani spraw dzie, jak np. kształtują się pobory nauczycieli. Przypuszczam, że po konfrontacji nie będą tak pochopnie

pisać o „pokrzywdzeniu”. Zresztą dziś w porównaniu z latami 1959/60, należałoby w rubryce: pobory, wstawić wyższe stawki od tych, którymi operuje praca dr Lutyńskiej.

Omawiana książka dr Lutyńskiej na pewno należy zaliczyć do rzędu bardzo potrzebnych. Ale chodzi nie tylko o zaspokojenie ciekawości. Praktycznym wnioskiem, zgodnym zresztą z intencjami autorki, jest konieczność podnoszenia pozycji społecznej urzędnika. Pomimo wypowiedzi żałośnie resowanych, wydaje się, że w znacznej mierze droga do celu prowadzi poprzez podniesienie poziomu wykształcenia, oraz nadanie czynności urzędnika rangi zawodu.

Znaczną część obecnych urzędników, którzy wykonują czynności manipulacyjne, bez jakiegokolwiek de gradacji społecznej można zaliczyć do właściwej naszymi czasami kategorii „robotników biurowych”, a z nazwą urzędnika łącząc administrację zakładem czy instytucją. Rzecz jasna, w porównaniu ze stanem obecnym zakres kompetencji urzędnika musi wzrosnąć, tak samo jak i jego odpowiedzialność. Do tego jest konieczne co najmniej pełne średnie wykształcenie i egzamin kwalifikacyjny.

Ale moje wnioski wykraczają już poza pracę dr Lutyńskiej. Zresztą autorka ograniczyła się do naciśnięcia guzika alarmowego. Tak jest, w rozumieniu felietonisty praca o pozycji społecznej urzędników jest sygnałem alarmowym.

LIST z powiatu

Mój drogi! Chciałbym ci opisać pewien przykład inicjatywy, która wychodzi ze wsi, patrząc na nią nie tylko od strony osiągnięć, których tu zresztą nie brak.

Odwiedzałem tę wieś kilkakrotnie; nie tylko z okazji uroczystości jakieś czyżby się z kolejnym etapem pracy kółka rolniczego w K. (Szyfruję tu nazwiska ludzi i miejscowości — jest ich przecież tak dużo równie do brzych). Zawsze wyjeżdżałem z uczuciem sympatii i szczerego uznania dla tych ludzi, dla ich ofiarności, inicjatywy i nawet... chłopskiego sprytu. Są bowiem poza rajonem koncentracji, a więc na terenie, gdzie idą minimalne ilości ciągników. Mają ich jednak w kółku sześć, w tym jednego „Zetora-Super” (import, wielki rarytas), co nawet wywołało oburzenie innych KR powiatu. Zbudowali tradycyjnym systemem, z cegły, ale solidnie, garaże, szopy, warsztaty, bazę paliw, „biurowiec”. Ogrodzili to i nawieźli zwierem drogi dojazdowe do każdego pomieszczenia. Co roku mają dziesiątki tysięcy złotych nadwyżki. Kupują ciągle nowe maszyny, fundusz rozwoju rolnictwa wykorzystali na całą pięciolatkę pierwsi w powiecie. Nie „boją” się amortyzacji, jak niektóre kółka, bo sprzęt u nich nigdy nie stoi, kiedy powinien być w polu.

Ostatnio rozbudowują warsztat. Mają już nawet obiecane tokarnie (niby to wbrew ogólnym koncepcjom — idzie się przecież na budowę w kółkach punktów konserwacyjnych). Wszędzie dzięki swojemu uporowi, zapobiegliwości, stale szachując powiat i województwo swoimi wynikami, zdobywając wszędzie sprzymierzeńców dla swoich planów. Nawet Bank krzywiąc się nieraz, idzie im na rękę. Nie mówiąc już o wszystkich tzw. instytucjach obsługujących rolnictwo.

Swego czasu nasz sekretarz rolny, spokojny, prawie legmatyczny człowiek, acz nie pozbawiony poczucia humoru, powiedział przesyłowemu kółka: „Wiele co, towarzyszu M., gdybyśmy mieli więcej takich KR to byśmy tu wszyscy wysiedli. No, nie dalibyśmy rady pomagać, interweniować, popierać, opiniować...”

Nie podzielałem tego sarkazmu sekretarza (rozgrzeszenie z braku wrażliwości na kłopoty klientów wspomnianych instytucji) w czasie ostatniego pobytu w K. Było to ogólne zebranie rozrachunkowe kółka, potem „herbatka”, co już weszło do tradycji nie tylko w naszym powiecie.

Przedstawiciel wojewódzwa chwalił wszystkich jak mógł, podkreślał pomoc całego środowiska, rolę aktywów, komisię rewizyjną. Piłsiły przy tym dość tego i może za sprawą alkoholu wzbudziło to we mnie tym większą przekorę, czemu dałem upust w wzniesionym toastie. Tośdzie, rzadko to się zdarza, polemizy. Chodziło mi o towarzysza M. prezesa tego kółka. Nie chciałem go poklepywać po plecach, ani mu stawiać pomnika, ale oburzyło mnie niedostrzeżenie roli tego człowieka jako jednostki.

Jest dla mnie oczywiste, że on by zeby sobie polamał na pierwszym lepszym problemie, gdyby nie pomoc środowiska i aktywów. Ale bez niego, człowieka o takich, a nie innych walorach osobistych nie osiągnąłby tego wszystkiego i za dziesięć lat. Szczęśliwy, niewielkiego wzrostu blondynek M., nie tylko zapalenie — społecznik, ale i dobry rolnik na 3-hektarowym gospodarstwie, poruszył we mnie te struny niezgody na takie widzenie proporcji między rolą kolektywu a postawą pojedynczego działacza. Ta rzecz ma chyba jeszcze inne strony. Bronię tu jednej, bo tak ostrożnie dmuchanie na indywidualizm, brak publicznej pochwały pożytecznej roboty „fiska” czy „irreka” wydają mi się tylko niepotrzebną stratą dla sprawy...

Może się myśle, mój drogi, bo to się nie da w żaden sposób udowodnić, ale nie opuszcza mnie to przekonanie. Chociaż nie chodzi tu tylko o gesty.

TWOJ JEZ.



Fot. P. Krassowski

Wysiadając na lutomijskim rynku wpada się od razu w środek grupy odbywającej swój codzienny dyżur koło gospody i w poczekalni tramwajowej. Miny butne, ręce w kieszeniach, rozpiętość wieku od 14 do 20 lat.

Oglądają wysiadających z tramwaju ludzi, wymieniają uwagi o znanych i nieznanymi, a już szczególnie się cieszą jeśli obok nich przechodzi nieznana dziewczyna. Lecą wtedy za nią dowiecnie komentarze dotyczące jej nóg, włosów, pierści...

Od czasu do czasu wchodzi do gospody; ciasno zgrupowani przy bufecie stanowią ścianę nie do przebycia dla obcego klienta, który wyschnięte gardło chciał przepłukać piwem.

Wiadomość o przygotowywanym gdzieś w pobliskiej wiosce ubawie jest dla tych młodzieńców sygnałem. Będzie można bezkarnie porozrabiać, wyrzeszczać się i zapić, wszystko bez wię-

za wesole. Może go trochę zamucim? No jak? Chłopaki, bierzemy się do roboty! Zaczyna się „robota”. W ruch idą nie tylko pięści i nogi, ale również „szczyrki”, kawałki żelaza oraz opróżnione butelki.

4 lipca na zabawie w Czolczyń Stanisław Sz. za bardzo ponoć podskakiwał; może już od dawna szykowano się na niego i zabawa była tylko pretekstem. W każdym razie finał był dla niego go mocno tragiczny. W bydlecej zapalczowości, w pijanym zewrzeniu został dotkliwie pobity, mało — przeciwnicy weszli na leżące nogami i deptali w dziłkim zapamiętaniu. Zamiast do domu Stanisława Sz. w stanie ciężkim przewieziono do szpitala. Będzie żył, ale kto wie, co by się stało, gdyby masakrę przeważono o minucie później.

Trójka głównych bohaterów zajęcia uznana, że najbezpieczniej będzie uciec. I zwiłali. Milicjanci w Lutomijsku bezradnie rozkładają ręce. — „Zwiłali gdzieś na Zachód, bandziory, jeden nawet napisał już do rodziny, ale jak ich dostać?”

Sprawcy krwawej awantury są dobrze znani tutejszej władzy. Niejednokrotnie składano już na nich skargi, każdy przeszedł przez kolegium. Pobicia, włamania, kra dzieże, obelgi, znowu kradzieże, znowu pobicie... Kradną co się da, najczęściej kury, żywność z mieszkań, bieliznę — rzecz przypadku.

A teraz środowisko. Oto rodzina jednego z nich. Ojciec pijak, matka słabo widzi, kilkoro niedorozwiniętych dzieci. Drugi zabijaka mieszkał z ojcem, także alkoholikiem, którego mało obchodziło życie prywatne syna. Oczywiście, niektórzy mają zupełnie przyzwyczajone rodziny. Przeciętny wiek opryszków — od 17 do 20 lat. Czym się zajmują? Nie mają starych zawodów, nigdzie nie pracują. Żyją z dorywczych prac, w zamożniejszych gospodarzy. Niektórych utrzymuje rodzina. I tak leci. Brak zajęcia sprzyja wszelkim ciągotom. Przy okazji uczą swych obyczajów młodszych chłop-

jącej świetlicy jest telewizor. Ale telewizor to już żadna atrakcja. Wystarczy popatrzeć na dachy i policzyć anteny, aby się o tym przekonać. Co jeszcze oferuje owa świetlica i jej kierownictwo młodym ludziom? Odczyty, dyskusje, może jakieś kółka zainteresowań? Nic z tych rzeczy. Najczęściej, jeśli młodzież tam się zbierze, w ruch idą karty. A że przy kartach często zdarzają się przymowy ki i poszturchy, to i milicja od czasu do czasu do świetlicy zajrzy. Radny „od spraw kultury” uważa, że wszystkim winien brak należytej organizacji. Brak zresztą osoby, która na organizację by się znała i której chciałoby się za organizację wziąć. Chyba warto byłoby o tym pomyśleć. Podobno kilku chłopców gra na gitarach, inni całkiem znośnie śpiewają; wprawdzie takich zespołów namnożyło się ostatnio sporo, ale w ten sposób można spędzić wolny czas.

Istnieje LZS, w obrębie którego działa drużyna piłkarska i sekcja siatkówki. I można by przeciw uprawiać i inne dyscypliny sportu, zainteresować tym i wciągnąć więcej młodzieży.

O takich organizacjach, jak ZMS i ZMW nikt nie konkretnego nie umie powiedzieć. Kiedyś podobno było koło ZMS, ale umarło śmiercią naturalną, a dziś znów nie można znaleźć odważnego, który zacząłby wszyst-



ko od nowa. Acha, jest jeszcze kino. Przeglądam repertuar bieżącego roku; filmy dostarczane na prowincję, mówiąc delikatnie, nie przedstawiają najwyższego poziomu. CWF rzuci czasem kilka dobrych filmów psychologicznych, ale te z kolei są trochę przyćmiewane dla niewyrobionej publiczności. W tej sytuacji, w Lutomijsku telewizja zdecydowanie bije X Muze.

Czy to wszystko jest przyczyną, że źle się dzieje w Lutomijsku, że część młodzieży umie tylko wszczynać awantury? Może tylko częściowo, przyczyn jest z pewnością znacznie więcej.

Skończyli, albo i nawet nie skończyli szkołę podstawową i nagle poczuli się wolni. Przestali być kontrolowani, została tylko władza rodzicielska, nie zawsze najlepiej wypełniająca swoje obowiązki. Niekiedy nigdzie nie pracują, więc nie boją się o opinię. A to, co sobie myślą o nich pozostali mieszkańcy, mało ich obchodzi. Zresztą rozrabianie to jest właśnie ich rozrywka, ich zabawa i styl życia; życia w małym Lutomijsku odległym o godzinę jazdy tramwajem, a pół godziny autobusem od Wielkiej Łodzi,

BOGDA MADEJ

Podmiejskie zabawy

bagaż w kieszeniach. Popijają od samego początku, najpierw dla rozgrzewki, potem bo już są rozgrzani.

W strażackiej remizie, gdzie najczęściej odbywają się zabawy, z początku jest trochę sztywno. Potem zabawa się rozkręca, coraz więcej butelek po czystej — strażackiej zalega po kątach; jest coraz weselej i coraz częściej odchodzi dialog.

— Ty, Wacek! Ten chłopyt jest

ców, którzy szybko przyswajają sobie specyficzny żargon „nauczycieli”. Z czasem „uczniowie” zaczynają działać sami — napastować przechodniów, bić, pociągać z flaszki.

Dlaczego tak się dzieje w Lutomijsku? Ludzie na to pytanie bezradnie rozkładają ręce, może prowincjonalna nuda? Może brak rozrywek kulturalnych? W istnie

Jak siedział — paczki mu nosiła, przemyciła papierosy. Jak wchodził... za ostatnim razem tuż przed śmiercią, sprzedał jej kożuch tramwajarski. Zima akurat szła i wiatr hulał po wagonach bezczelnie — ona marzyła, przytupywała nogami w „gdynkach”, bo zdążył wynieść na bazar jej służbowe buty z cholewami, obłożone olejnym filecem.

— Eh, ta Maria — tramwajarka — mówiła sędziwie. — Idzie na to, że bez chłopa wychowa dzieciśka. Charakterna kobieta; nie ma co.

2.

Dochodzi szóstka i oblicze wagonu zmienia się powoli. Ale tłoku jeszcze nie ma. W krótszych teraz chwilach odpoczynku Maria myśli o dzieciakach. Ta starsza, Małgosia, skończyła czternaście lat i jest w gimnazjum. Uczy się bez przynależności, pomaga w domu, brata do szkoły prowadzi, i z powrotem. Jeśli Marię boli serce, to o ubiór dziewczynki. Jak się takie dziecko czuje w przykrótkiej, wyszarzałej jesionce i pantoflach kupionych dawno temu, ciężko zelowanych i niezgrabnych? Gosia ma w sobie coś z matki. Jest skryta i dumna. Żalić się nie lubi. Jest jednak wrażliwa — Maria dobrze to rozumie...

Oj, już by ona, Maria, wiedziała jak przepuścić pieniądze, gdyby wpadła do kieszeni większa suma. Tak czy owak na pierwszego kupa dziewczynki buty, konieczne, i pończochy może jakieś — niech się dziecko nie czerwieni.

O godzinie szóstej dwadzieścia myśli Marię urywają się nagłe... Ktoś goni tramwaj w pełnym biegu. Widzi już jego

twarz — młoda, zniekształcona wysiłkiem. Boże, żeby nie zdążył. Żeby przystanął. Niech się raczej spóźni do pracy. Niech go raczej wywala. Maria odczuwa lek. Coś uciska ją w sercu. Jeździ przeszło osiem lat, a mimo to nie potrafi patrzeć i czuć inaczej, tak owego pierwszego dnia na wagonie... Widzi trupa, krew, obcięte nogi albo ręce i odruchowo wyciąga dłoń, żeby tramwaj zatrzymał sygnałem. Wyrostek jednak jest szybki i zręczny. Uczępiłony poręczy frunie jakiś czas z podciąganiem, potem podrywa nogi i ładnie szczęśliwie na stopniach. W nagłym odruchu Maria chce go skłonić, zwymyślać od ostatnich, zatrzymać tramwaj i wysadzić. Ale szczeniak uśmiecha się szeroko, sympatycznie, przetrzął mamusiu bilet — mówi i serce Marii tonieje...

— Gdybyś ty był moim synem, smar-kacz, miotło bym wzięła...

— Sie mama nie gniewa — mówi smar-kacz. — Nerwów szkoda. — I przechodzi w myśl przepisów do przodu, żeby szczerzy zasiałany nieco, spocony.

3.

Zbliża się ranny szczyt. Z każdą minutą ścisł też się i poczucie na stopniach winogrona. Wścikiły atak na wejścia wagonu następuje teraz co przystanek; towarzysza mu przekleństwo, okrzyki rozczarowania i bólu. Jak tylko tramwaj rusza, z winogron odpadają — często już po kilkunastu metrach — ludzie słabsi, kobiety, przestraszeni nagłe chłopycy... Reszta jednak jedzie, na złamanie karku, byle do przodu, z jedną nogą bez oparcia, w powietrzu, z teczka w ręce i na małym palcu, szukającym na poręczy więcej

miejsca. Maria jest od ośmiu lat konduktorka — jednak patrzeć na to nie potrafi. Znieczulenie zawodowe Marię się nie ima. Powtarza raz po raz, bez nadziei, ale gniewnie: „Głębiej prosze!” „Proszcie się przesunąć!”. „Proszcie przechodzić: na stopniach są ludzie!” Maria dobrze wie, jak wyglądał twarz człowieka co wypadł, nie z podziurą w pełnym biegu. Miała takich wypadków dziesiątki. I nie chce już mieć. I rozumie, że będzie nie mieć. Może teraz, zaraz, za chwile, może na następnym przystanku, może dopiero jutro... Ale będzie! I dlatego nerwy są w napięciu, a serce pod gardłem. Dlatego przeklina godzinę szczytu...

Nie znosi również kłótni, o które w szczytach najłatwiej. Które wybuchają ni stąd ni zowąd i rozprzestrzeniają się w try miga na cały wagon. A to komus buta przydepnęli, ktoś o kogoś oparł się za mocno, to znów miejsca nie ustabil młodsi — stoi teraz czerwony jak burak, gebe w kołnierzu chowa, do wyjścia pomyka chłostany bluźnierstwem. Wagon z reguły dzieli się na dwa obozy, neutralnych prawie nie ma, toteż awantura przypomina mecz, taka prowincjonalna, krwawa rozrywka, gdy zaistniała słaba się z rozkoszą, chamsko z ponizieniem. Żeby tak chociaż z dziesięć minut przerwy; ale, gdzie tam...

— Jak się panusi nie podoba, to tak-sówka...

— No już, jazda, zabieraj pan te zwłoki!

— Weź te ręce, fraterze — mówi byczek do człowieka, który mógłby mu ojcować. — Stary bierze potulnie, cichutko, uoycha ja w tłoku, więc się znowu zloszczą inni. Ktoś zaczyna go strofować od

Rzecz o MARII -konduktorce

Dalszy ciąg ze str. 1

gl. Na przemian: tnie i odpoczywa. A odpoczywając — myśli kraja tej do głowie... — Ech, ta Maria — tramwajarka — mówi o niej sędziwie. — Eh, książki by pisać o tej Marii.

Meza straciła cztery lata temu. Ostroci dwoje dzieci. Zostawił po sobie zakrwawioną jesionkę i kupa wspomnień czarnych jak noc. Kiedy jeszcze żył — częściej siedział po wiezieniach niż pracował. Przeszedł zawsze skrupulatnie zarobione grosze, a gdy mało było — kradł. I uderzyć też potrafił — z czarnych siłców sędziwie wiedzieli, bo Maria rzadko się żaliła nie chciała współczuć.

POLOWANIE Z NAGONKA

Dalszy ciąg ze str. 1

Fachowcy od tych spraw wiedzą, że proces demoralizacji nieletnich przebiega zazwyczaj bardzo typowo: „zaczyna się od drobnych wykroczeń i zaniedbań w nauce, narasta w trakcie zwiększającej się ilości niehamowanych wybryków, dojrzewa w złym środowisku podobnych lub gorszych kolegów i wyładowuje się w końcu w takim działaniu, które uznać należy za społecznie szkodliwe i przestępstwo. Jeśli dołączy się do tego jeszcze złe przykłady i złe warunki w rodzinie, alkoholizm i szczególnie niekorzystne skłonności osobiste nieletniego, rezultaty mogą przybrać nawet kształty przerażające, jak zbiorowe gwałty, czy morderstwa”.

A więc, jeśli zostało stwierdzone, że „u podstaw wejścia nieletniego na drogę przestępczą leżą niepowodzenia szkolne — że pierwsze niesprawiedliwe stopnie, bądź też niesprawiedliwe w opinii dziecka dwójki i lęki przed surowością rodziców, zwłaszcza ojców, powodują, że dziecko zaczyna wagarować, uciekać z domu, kłamać, oszukiwać, podrabiać usprawiedliwienia nieobecności w szkole...” czyż nie narzucała się wprost konieczność takiego usprawnienia pracy wychowawczej szkoły, aby zmniejszyć do minimum te właśnie niepowodzenia szkolne? Narzucała na pewno i nie pozostała bez echa. I oto mamy już profilaktyczne współdziałanie władz oświatowych: w szkołach organizuje się pomoc dla słabszych uczniów, otwiera się klasy dla uczniów przerosniętych, wprowadzone zostały (w Łodzi — po raz pierwszy w Polsce) wczesniejsze zapisy dla klas pierwszych. Eksperyment ten dał zaskakujące rezultaty. Ujawnił bowiem nierówność startu szkolnego dzieci. Badania lekarskie i psychologiczne siedmiolatków wykazały dzieci o spóźnionym rozwoju umysłowym na skutek trudnych warunków domowych (przeważnie dzieci alkoholików). I dla nich poczęto organizować wakacyjne ogniska przedszkolne, gdzie nauczyciele-specjaliści zajmują się rozszerzeniem zakresu ich orientacji. Prócz tego również Łódź jako pierwsza zainicjowała akcję półinternatów dla dzieci ze szczególnie złych warunków rodzinnych. Chodziło o to, aby dzieci te, przebywając w półinternacie do godz. 20, szły do domu tylko spać. (Na razie jest tych półinternatów 7, miało powstać 25, nie znalazłoby jednak na nie pokrycia finansowego. A szkoda, gdyż akcja ta daje piękne rezultaty). Trzecim udanym eksperymentem jest prowadzenie szkół wakacyjnych, dla uczniów, którym grozi pozostanie na drugi rok. Dużą rolę odgrywa też pułki poradnictwa dotyczące wyboru szkoły. Tyle w wielkim skrócie od strony szkoły.

Od strony milicji: Dom zatrzymań dziecka prowadzony przez MO od 1962 roku zmienił swe oblicze — odtąd nie tylko zatrzymuje. Zanim odda lub nie odda rodzicom uciekiniera, zrobi wywiad środowiskowy, zbada przyczynę ucieczki i odpowiednio zadziała: jeśli nie ma jeszcze przestępstwa, spowoduje izolowanie dziecka z dotychczasowego środowiska przez umieszczenie w Domach Dziecka, w internatach, czy w Państw. Pogotowiu Opiekuńczym; często skierowuje wniosek o umieszczenie ojca-alkoholika w zakładzie, interweniuje względnie sygnalizuje potrzebę pomocy w odpowiedzialnej instytucji (w szkole, Poradni Społecznej Wychowania, w Sądzie Opiekuńczym Wydziału dla Nieletnich, w zakładzie pracy nieletniego lub jego rodziców) i tak dalej i tak dalej.

Spośród innych akcji profilaktycznych na szczególne podkreślenie zasługuje powołanie także w grudniu 1962 r. eksperymentalnych zespołów MO do roz-

poznawania i zapobiegania przestępstw grupowych. Dokładne rozpoznanie środowisk przestępczych przez te zespoły oraz poznanie metod i sposobów ich działania, dało nadspodziewane rezultaty: w ciągu jednego tylko 1963 roku wykryto 220 młodzieżowych grup przestępczych, skupiających 800 młodocianych.

Również z inicjatywy MO z istniejących przy Komendach Dzielnicowych organizacji ORMO wyodrębniono specjalne zespoły do spraw nieletnich. W skład takich ormowskich zespołów wchodzi także nauczyciele, członkowie Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Frontu Jedności Narodu. Prowadzą one ciekawą akcję zwracania uwagi na zachowanie się młodzieży na ulicach, w parkach, czy tramwajach. 4-osobowe grupy wizytują kawiarnie, uczęszczane specjalnie przez młodzież i odbywają tam rozmowy z młodzieżą na temat kulturalnego zachowania się w miejscach publicznych. I tak dalej, i tak dalej.

Od strony Sądu dla Nieletnich. Tylko z winy nie dość przedantycznej struktury mego reportażu wynikało, że właśnie te instytucje umieszczam na trzecim miejscu. Powinno być od niej zacząć, bo właśnie Sąd dla Nieletnich w ostatnim dziesięcioleciu, wysunął się na czoło przemian nowatorskich. Do niedawna tradycyjny Sąd dla Nieletnich ograniczał się do reagowania na skutki demoralizacji. Zajmował się nieletnimi wtedy dopiero, gdy wkroczyli na drogę przestępczości. Wprawdzie obowiązujące przepisy prawne przewidywały do dnia dzisiejszego taki tylko zakres działania, samo życie rozszerzyło jednak ten wąski kanał o działalność profilaktyczną, w powołaniu z działalności innych instytucji, zainteresowanych w wychowaniu młodego pokolenia. Tak więc obok spraw karnych Sąd dla Nieletnich w Łodzi poczęł prowadzić także sprawy opiekuńcze, wiążąc w ten sposób ze sobą oba rodzaje działalności. Jednocześnie stopniowo zwiększał zespoły inspektorów sądowych i społecznych kuratorów sądowych. Dalszym etapem było powołanie zawodowych kuratorów sądowych. A wtedy już stało się możliwe poważne rozwinięcie i — jeśli tak rzecz można — unowocześnienie działalności Sądu dla Nieletnich poprzez akcje profilaktyki przestępczości nieletnich. Tu z dużą satysfakcją mogę śwym czytelnikom zaawizować, że w ogólnej ocenie zawodowych i społecznych osiągnięć wszystkich Sądów dla Nieletnich w kraju, sąd łódzki podobno uznany został za wyróżniający się.

Ale to tylko nawiasem, po drodze do ostatniej zamierzonej relacji: jak wygląda problem profilaktyki przestępczości nieletnich od strony socjologii?

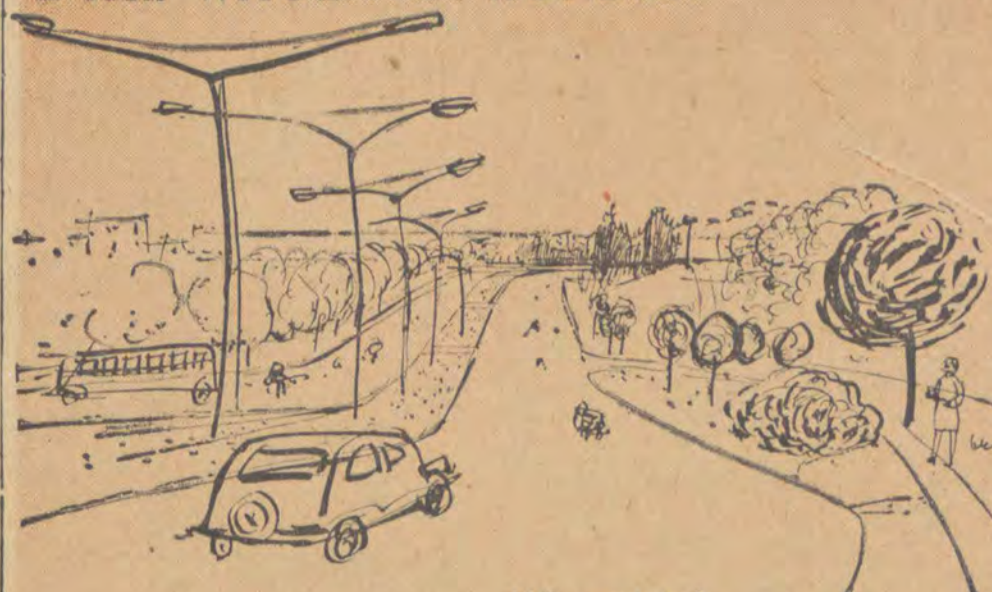
Sygnalizuje nam ona właśnie, że w działalności profilaktycznej obok środków wychowawczych i administracyjnych należałoby wykorzystać zjawisko powstawania w dużych skupiskach miejskich lokalnych środowisk, w których zarysowują się tendencje tworzenia się więzi społecznych nowego typu na miejsce poniekąd wiezi tradycyjnych.

Należałoby tylko ustalić właściwą jednostkę przestrzeni. Praktyka ostatnich lat wyraźnie proponuje jako taką jednostkę rejon działalności Terenowych Komitetów Frontu Jedności Narodu. Taka wielkość „operacyjnego” terenu stwarza szansę zabezpieczenia jednostki przed społeczną anonimowością. Jednostki odchylające się od obowiązujących norm są na miejscu widocznym, w zasięgu działalności terenowego aktywu społecznego, zgrupowanego w paru instytucjach, jak np.: w Terenowych Komitetach EBN, Komitetach blokowych, Komitetach domowych, Rodzicielskich przy szkołach, Kołach TPD, Ligi Kobiet itp. Trzeba tylko temu kształtowanemu się lokalnemu środowisku i jego opinii nadać odpowiednią treść i nowe formy.

No, i co tu dużo mówić: idziemy za tym rozumnym wskazaniem i nie jest wcale śmiechu godne porównanie tak obszernej zakrojonej akcji profilaktyki przestępstw nieletnich do polowania wielu jeźdźców na jednego lisa. Bo a nuż uda nam się tą bronią właśnie ubić grubego zwierza?

ZOFIA ŁORENTZ

Z teki WACŁAWA KONDKA



Łódź — autostrada



Praszka



Szczerców — kościół barokowy

początku... Już Maria nie wytrzymuje. Zaczyna krzyczeć, głośno, chaotycznie, pełna wściekłości i świętego oburzenia. Pociąga za sygnał. Tramwaj staje.

4.

Na „dwójce” szczyt urywa się po ósmej. Urzednicy już w pracy, a studenci zaczynają wówczas wykłady i ćwiczenia; grupki spóźnionych kłopotu nie robią; są nieobecni i zaspawani. W ogóle, najwyżej jest ze studentami na liniach „sześć” i „siedemnaście” w późne, świąteczne popołudnie, w soboty i niedziele, kiedy na Lumumby jada, aby tańczyć. Linie te są rentowne i zarobek na nich można nieźle przemieć, lecz Maria wstrząsa się na sama myśl... Do dyrekcji MPK przy ulicy Tram wającej nabyły się sporo zażaleń: a to student nawymyślał motorniczemu, a to pobłił konduktora, to znów między sobą prac się zaczęli obrażając dobre obyczaje. Maria miewa często z nimi scysje.

We wrześniu wskoczył jeden taki, nie dość że w biegu, to na pierwszy pomost. Gdy mu Maria zwróciła uwagę...

— Co, nie widzisz, głupia babo, że w ciąży i że ruszamy się z wielkim trudem?!

Maria zatrzymała tramwaj, lecz nim nadbiegł milicjant, tamten — obrzucający konduktorkę stekiem biuźnicerstwa na wszystkie litery alfabetu — zdążył wskazać w zaułkach ulicy.

Takie rzeczy długo Maria pamięta — rania godność, nurtują, odżywiają przy lada okazji.

Przez wagony, w których pracuje, prze-wijają się ludzie wszelkich stanów psychicznych — rozdrażnieni, smutni, nadmiernie zmęczeni robotą, zakochani, za-

wiedzeni, o złych sercach i czarnym smieniu; także — weseli, pogodni i uśmiejni. Maria umie się wczuć w ich humor, umie zrozumieć — psychologiem jest nieletnim. Ludzka rozpacz widzi tak dokładnie, jak faceta bez biletu, choćby nie stał za plecami innych i natrzął jej prosto w oczy. Nawet taki, beczelny gawpacz jest dla Marii zupełnie czytelny; tak samo z tragedią człowieka — zawsze jakąś przelezie na zewnątrz — uważać wtedy trzeba, by jej nie pogłębić. Ona uważa...

Bywają dni, kiedy pięciu pasażerów nabroi, zniszczy jej spokój, humor i pogodę, zabierze chęć do życia; ale potem, prawem serii, przyjdzie ten szósty...

Pierwszym będzie pijak, którego zgodnie z regulaminem wysadzi po krótkiej walce, żeby wagonu nie ubrudził i nie wypadł. Dostanie wówczas biedna Maria za swoje. Od pijaka i od pasażerów. Wagon zawsze się jednoczy w takich razach przeciw konduktorce. Przez przekorę.

Drugim będzie obrażona w swej godności dama, sprowokowana przez Marię do ustąpienia miejsca kobiecie ciężarnej.

Trzecim będzie posiadacz abonamentu uprawniającego do jazdy na innej trasie. Ten się dopiera nawrzeszczy, nawrzeszczy...

Czwartym — ech ten czwarty, wiecznie roztrągnięty gość w podszyciu wieku, co obrazł się śmiertelnie, gdy go prosić o legitymację. „Mnie pani nie wierzy — wrzeszczy — mnie, staremu inwalidzie!”

Piąty — to okaz klasyczny, gbur beczelny. Jak Maria pogrosi, by zapłacić za bilet, odpowie: „Odczep się”. „Dalej, dalej”, „Czego?!” — albo coś w tym stylu.

Ale przychodzi, na szczęście ten szósty. Prawem serii. Sprawiedliwości. I oczy

Marii przestają być puste. Powraca ciepło i wiara. Ten szósty nie musi robić cudów. Wystarczy, gdy „podziękuję uśmiechem”, uśmiechnie się przy tym, lub banalnie zagadnie o pogodzie. Tym szóstem może być kobieta, która poczestuje Marię jabłkiem, stary człowiek z kwiatami — handlarz uliczny — gotów wręczyć jej — choćby goździka, i dziecko, z tornistrem na plecach, z ciekawością w oczach, które pogłaszczę...

Jest dziesiąta. Maria znowu odmierza czas przystankami. Tok ustąpił, więc są chwile, że może odpocząć i myśleć. Myśli teraz o matym, Franek mu — po ojcu, którego smyk ledwo pamięta. Wie, że tata „umal na sielce” i że był „ulka”, „bokselek” — wie to od sasiadów, dobrych, rozsądnych ludzi...

Ech, ta Maria — tramwajarka. Nielatwe ma życie. Ale idzie na to, że dzieciaki wychowa na ludzi.

5. Prasa, radio, telewizja szeroko komentowały ekscesy chuligańskie, których dopuszczali się na pociągach małe dzieci. Sznurzy wykolejonych wagonów, potłuczone kamieniami szyby, dziesiątki zabitych i rannych...

Ostatnio mnożą się także wypadki tajemniczych zamachów na tramwaje. Nie są to już niewinne petardy, podkładane pod koła w dniach Wielkiej Nocy. Nie są to dziecinne korki, ani kapszonzy. Zdać by się mogło, że wyrostki z miasta idą w ślady wyrostków z prowincji — że zardroszcza, tamtym że wsi, emocji i sławy. Zapytajcie motorniczych i konduktorów. Oni wam powiedzą. Zapytajcie popularnej tramwajarki, Janiny Bartollik,

obruzionej kamieniami za węgiel, zza chudej chałupy z Widzewa. Jeden z kamieni trafił w przednią szybę. Inny ugodził w czoło majstra z Bałut, jadącego na stopniach, z racji belki, która nie mieściła się w wagonie. Jeszcze inne przeszły górą lub dołem — może tuż nad głową motorniczego?

Uwaga! Donoszę! Na paru krańcówkach, na osiedlu Mireckiego przy ulicy Jarzynowej, brak ludzi do spinania wymanewrowanych wagonów. Z konieczności pracę za nich wykonują konduktorki. Bywa, że ciężkie i brudne siatki ochronne przenosić muszą kobiety. Bywa, że muszą łączyć zderzaki między którymi znalazło już śmierć lub trwałe kalectwo wielu wykwalifikowanych spinaczy. Donoszę także, iż dyrekcja MPK dobrze o tym wie. Ze za dodatkową pracę nie nie płaca. Ze kobiety — konduktorki się buntują. Ze stosuje się wobec nich argument: nie chcesz robić — przyjdzie na twe miejsce inna.

Te kobiety rozumują logicznie: jeśli ulegnemy wypadkowi — dyrekcja za to odpowiadać nie będzie. Usłyszymy wówczas — „pocoście robili; przecież to należy do spinaczy”.

Te kobiety rozumują logicznie: jeśli nie zechcemy spinąć — za-tapia nas inna...

Dylemat!

Jeszcze jedno: na krańcach Łodzi, przy ulicy Łagiewnickiej, grupa chuliganów wyrzucała z pędzącego wagonu konduktorkę. Co na to współpasażerowie? Co na to społeczeństwo? Spao? Grato w karty? Ona leży w szpitalu. Ona jak Maria — jest wdowa i ma dzieci. Musi przecież je wychować. Na ludzi.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

MIEDZY PRAWDA A CHLEBEM*)

W widzewskim kościele biją dzwony, może przed majowym nabożeństwem? Nie wiem tego, dawno już pozapomniałem, co się odprawia w kościołach. Może kościelny wybija podzwonne dla starego osiedla? Stoimy przy zbiegu ulic Nicjar-nianej i Kazimierza. Ciężarówka wywożą nadgniłe resztki domków kunitzerowskiego osiedla. Kunitzer był kapitalistą łódzkim, jego kapitały dawno diabli wzięli, ale osiedle pozostało, żyło jeszcze dwadzieścia lat po wojnie.

— Rozsypuje się moja młodość.

Mówię to trochę przez kokieteryę. Moja żona zawsze gorąco zaprzecza, kiedy podkreślam swój stateczny wiek. Ale tym razem mówię nie tylko przez kokieteryę. Domek Podleśnego jeszcze stoi, ulegnie jednak rozbiórce, już dzisiaj jest pusty. Dziwi mnie tylko, że okna całe, stary termometr przyklejony do szyby wskazuje prawie trzydzieści stopni. W słońcu oczywiście, tak naprawdę może być dwadzieścia kilka. Zaglądam przez szybę do wnętrza.

— Dziwne.

— Dlaczego dziwne?

Jakże to jej wytłumaczyć. Dziwię się, gdyż dom jest martwy, nie ma w nim ludzi, nawet muchy nie ma, nie żywego, a umeblowanie pozostało. Panuje tam cisza grobowa, porządek nikomu niepotrzebny, odrobina kurzu osiadła już na krzesłach.

— Gdzie się podziali Podleśni? — pytam zdziwiony.

— Znać ich?

— Owszem, mieszkali u nich, wszystko zostawili i nie ma ich.

— Kiedy mieszkali?

— Prawie dwadzieścia lat temu, zaraz po wojnie.

— Żal ci, że rozbiegają już to straszne osiedle.

Domyśla się od razu, o co chodzi. Ale to nie jest dosłownie tak. Mnie jest żal mojej młodości, co... Ludzie przenoszą się do nowych domów, za kościołem, przy torze stoi nowe osiedle. Zaglądam jeszcze raz do wnętrza i wybucham śmiechem. Nad starym żelaznym łóżkiem wisi makatka, czysta, wyprana, jakby przed chwilą powiesił ją Kazimierz. „Dobra gospodyni porządek w domu czyni”. Robotnicy są sprawni, rozbierają z niezwykłą zajądlnością sasiadki drewniak, na wół zgnili, zbutwiały. Pachnie domowym grzybem, pleśnią, prawie każdej wiosny brudne wody po śniegu, cuchnące wody z widzewskich rynsztoków zalewały to osiedle, wody odchodziły, pozostawał grzyb. Tylko naszego pokoju nigdy woda nie zalała, Kazimierz wynalazł specjalną masę uszczelniającą. Robotnicy nienawidzą tego osiedla, walą młotami w ściany, przewracają stare piece, radzi by ten teren zorać, zamienić w park, pozostały prze-

cież stare lipy, rzędy topoli. Drzewa rosną wzdłuż ulic, ulice przestają istnieć, trzeba pewnie będzie zmienić plan miasta. Ale ulice można bez trudu zamienić w aleje parkowe.

— Słom mieszkali?

Pyta bezinteresownie, nie jest zazdrosna o przeszłość, dwadzieścia lat temu trzymała się jeszcze matczynej spódnicy, na legitymację mówiła legitymacja i kubaślasia zamiast kiełbasa.

— Nie sam. Z Kazimierzem. Wyśniłem go sobie i on rzeczywiście przyszedł.

To wcale nie jest żaden kawał, czy przeznaczenie. Tak było naprawdę. Pewnej nocy szedłem samotnie przez lilowy pejzaż. Było to jakieś niezmiernie wrzosowisko, górzyste, pozbawione początku i końca, kwitnące, lecz równocześnie absolutnie puste, bez pszczoł i motyli, bez jednego drzewa. Może to była Wallya? Tak sobie właśnie wyobrażałem Wallyę, ale nie wiem dlaczego. Ginałem, biegłem w różnych kierunkach, lecz nie wiedziałem w którą stronę biegnę, gdyż nie mogłem znaleźć stron świata. Ginałem z głodu i pragnienia, już nie biegłem, tylko szedłem i już nie szedłem, lecz czołgałem się, coraz słabszy, wyczerpany. Wtedy zjawiał się człowiek. Nie widziałem jego twarzy, ale to był dobry człowiek, przyjaciel. Zostawił mi manierkę pełną zimnej wody, nasyczonej cytryną i znakomitą jajecznicę na szynce. Nie mogłem mu się przyglądać — chciałem jeść, chciałem pić, a kiedy przepędziłem głód, tego dziwnego przyjaciela już nie było, darmo rozglądałem się po wrzosowisku. Ale nim on znikł powiedział, że mnie znajdzie w ciągu dnia, bo teraz jest w gruncie rzeczy noc. Drugiego dnia zapukał do drzwi Kazimierz. Miał ze sobą dwie pękate walizy i olbrzymi, wyładowany po brzegi plecak. Szukał mieszkania, wielu studentów szukało wtedy jakiegoś takiego dachu nad głową. Podleśni nie odmówili, ale rzecz wymagała mojej zgody, Kazimierz mógł zamieszkać tylko ze mną, wolnego pokoju Podleśni nie mieli. W tym czasie robotnicy zarabiali bardzo niewiele, fabryki szły w krótką, jak się trafił surowiec, nie było prądu, a znowu jak był prąd, brakowało akurat ziemniaków i ludzie rzucali pracę, szli na wieś po ziemniaki. Każdy lokator, jeżeli był przyzwyczajony, zwiększał uczciwie miesięczny budżet. Na osiedlu kunitzerowskim mało kto wiedział, że student nie zarabia, krążyła natomiast w pobliżu kościoła legenda, że kto usunie studenta z domu, to jakby dobre skrzyżta za drzwi wyrzucił.

Zgodziłem się od razu. Kazimierz powiedział mi we śnie, że przyjdzie na jawie i przyszedł. Wiedziałem, że nastąpi coś niezwykłego wraz z jego przyjściem. Kazimierz zabrał się do wyładowywania walizek. Wydobył najpierw obrazek, zwykły pejzażyk i powiesił go na ścianie.

— Zobacz, mała, jeszcze wisi, na prawo od pieca — mówię do żony.

Wspina się na palcach, ale nie wygląda na spasionowaną moim opowiadaniem. Obrazek przedstawiał las, o tyle niezwykły, że wszystkie drzewa były spalone przy pniu, w górze zielone, rama czarna od spalenizny na dole i złota w górze. „Wyciągnąłem z płonącego domu” — powiedział Kazimierz i zaraz po tych słowach zawiesił na honorowym miejscu inny obrazek.

— Gdzie? — pyta moja zielonooka.

— W tej ramie są teraz białe kotki z niebieskimi wstążeczkami i bawią się w łóżeczka.

Ale tamten to nie był właściwie żaden obraz, lecz puste ramki. „To mój ojciec i matka” — wyjaśnił Kazimierz. — Spalili się w tym domu, ciekawe, że oni się

spalili, a rama wytrzymała, pewnie dlatego spalili się, że byli z papieru, a rama jest dębowa”. Wyjął następnie z walizki ebonitowy wyłącznik elektryczny. Odkreślił stary, popękany i przytwierdził do ściany swój. „Jakoś ocalał”.

— To jest ten przy drzwiach?

— Tak.

Zaraz potem wydobył niewielki abażur.

— Nie widzę.

— O ile pamiętam ten abażur spodobał się córce Podleśnych, powinien być w ich sypialni, od strony boiska. Możemy znaleźć, chociaż mało znam tamten pokój.

Kazimierz wyrzucił mój abażur do wiaderka i umocował swój. „Też cudem ocalał, sam go robiłem na słojdzie, jeszcze w latach szkolnych”. Na końcu przytwierdził pinezkami do ściany makatkę kuchenną z napisem — „Dobra gospodyni porządek w domu czyni”. Wtedy zdaje się powiedział:

— Moja matka przypominała mi pory roku, nie wiem dlaczego, ale przypominała mi, może przez te swoje proste, domowe czynności.



Fot. Bohdan Marhoun. CSRS. Alist.

Nie rozumiałem.

— To bardzo proste. Rano, kiedy wstawaliśmy, przypominała wiosnę. Siadałem przy stole i mówiłem — jestem głodny, mamo, zjadłbym wołu z uszami. W jej oczach błyszczały łezki szczęścia, to była dla mnie wiosna, majowa rosa. Każda matka jest szczęśliwa, jeżeli może zaspołoczyć głód syna, podać mu jego ulubioną koszulę, czystą i wyprasowaną. Rano matka była zawsze świeża i lekko rumiana. Tak sobie wyobrażałem wiosenny brzask. W południe moja matka była latem. W godzinach rannych i przedpołudniowych, kiedy sprzątała, podiewała kwiaty,

ścięła kurze, gotowała obiad, dojrzewała równocześnie, sięgała swojego zenitu, dochodziła na swoim domowym widokręgu do momentu, od którego zaczyna się powolny, jakby ociężały spadek. Patrzyła już spokojniej jak wcinalem obiad, tylko jej miłość była wciąż taka sama, a może nawet rosła w niej ta matczyność. Jesień przychodziła wieczorem, we wzroku mojej matki było coś z listopadowej mgły, a ona sama jakby zmięrczała, sam nie wiem jak ci to powiedzieć, może lepiej powiedzieć — gasła, odbarwiała się, a może odpływała w kraj baśni, w świat swoich wyobrażeń. Każda matka kocha swoje dzieci do szaleństwa, znacząca taka matka jak moja, ale jesienią ona tworzy światy, w których mogłaby kochać jeszcze więcej, więcej niż można normalnie pomyśleć, kapujesz?

— I co mu powiedziałeś, jak cię spytał?

Moja żona przygląda mi się uważnie. Widzi przez szybę załączniki, realne, wymierne, sprawdzalne wzrokiem, w dotyku, załączniki, ale jeszcze mi nie dowierza.

— Spytałem, chyba, o zimę.

Kazimierz mówił dalej.

— Teraz jest zima, ale tylko dla mnie, w gruncie rzeczy, mamy pierwszą wiosnę po wojnie. Ale ja żyję w pustce zimowej, przestrzeń biała, nijaka, bez koloru, głucha. Ani ptaków, ani świerszczy. Sam nie wiem jaka pora dnia byłaby matki porą, nazywaną zimą. Matka nie doczekała zimy, nikt z nas nie doczekał, prócz mnie. Zima jest dla mnie samotnością, bezradnością, ale może by nie było zimy, gdyby matka żyła, przecież ja tego nie mogę wiedzieć, co by było, gdyby było. Spalony dom, rodzice spaleni do ostatniej kosteczki. Brat spalił się na łóżku, leżał pod koldrą. Trzymam w słoiku trochę popiołu, zgarnąłem z tego miejsca, gdzie stało łóżko. Chyba nie ma sensu gromadzić popiołów, jak się dokładnie nie wie, czy to koldra, czy brat, nie? Ale ja i tak odbuduję wszystko na nowo, mam po prostu z czego, zostało mi dużo zarodników ze starego domu, nie zniszcz jeszcze dna w moich walizkach, tylko ludzi nie dam rady odbudować.

— Co on miał na myśli?

Moja żona jest już spasionowana.

— Nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, jak ja go rozumiałem. Wierzyłem, najzwyczajniej pod słońcem wierzyłem, że Kazimierz odbuduje swój dom ze spalonych landszafów, szerniałego abażuru, pustych ram i kuchennej makatki, a potem odbuduje pory roku w kobiecie, którą wybierze sobie na żonę...

Zapalam papierosa. Robotnicy pokrzykują — ej-op! Dalej -op! Szkielet domu stoi w kurzu, wiatr roznosi po świecie złoty pył. Tyle zostało po drzewie, stoczonym przez pracowite korniki. Warczą motory, samochody wywożą żalose resztki po dawnych lokatorach. Urodziny, zgony, spory sąsiadki o psy, królki, prawo do studni, dawne spory osiedla kunitzerowskiego, tragedia dziewczyny zgwałconej przez majstra, milczenie rodziców, którzy nie chcieli stracić pracy, wszystko na czym może spocząć oko, o co pamięć może zahaczyć znika na grzbietach samochodów — wywrotek. Zostanie tu gdzieś moglika nieślubnego dziecka, ale nikt nie wie, na której działce szukać grobu nieznanego dziecka, matka zakopala je nocą, może pod oknem majstra. Tak twierdził mój gospodarz, pan Podleśny. Jego dom stoi najbliższej rozbieranego wraku, czeka na swoją śmierć.

*) Fragment powieści, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

NOWE WIERZSZE

TADEUSZ GIGIER

Sierpniowe niebo

Ta czerń jest alosamitna; a srebro jest twarde;
nie unos — mówi głowy, bo głowę porażę;
podłkowy gwiazd wycyzniać zaczął po niej harce
i wgniecie ją w bruk miasta byle gwiazda-karzel.
Ale czy kto się oprze sierpniowemu niebu,
choćby miał wnet w pędzącym zgubić się ogromie
Unoszę głowę w górę, pęd lamie jej przegub,
lecz gwiazdy nie trawia, każda miękko plonie.
O; spokoju drgający, chwiejna równowagol
O, wirze nieruchomy! O, ruchu pozorny!
Pozarawiam cię, mgławico i ciebie, plejado,
drobny kosmiczny pyłek, a przecież przekorny.
Ten sam prąd mną steruje, wygina spiralnie,
który wami też włada; niebios ciała świetne,
choćbyś dmi me są ziemskie, a wasze astralne
choć miewam lata mroczne, a wy tylko świetne
Znam wschody i zachody, zęgnania, powroty
słowo, bo i mnie prowadzi, pozornie odrębna,
w istocie taka sama, sprawdzona przez dotyk
gwiazda — ta moja ludzka, więc dlatego błędna.



RAYMOND PEYNET

Raymond Peynet

JERZY WILMAŃSKI

OSAMOTNIENI Z BIAŁEJ

Regionalizm. Słowo, które u jednych wywołuje ironiczny grymas, u innych entuzjazm. Przeciwnicy mówią: czas skończyć z hotobieniem regionalnych upodobań, bo to śmieszny przeżytek. Zwolennicy błędnie z oburzenia słysząc tę argumentację. Bieda jednak w tym, że najwięcej jest obojętnych.

Dla mnie nie ulega wątpliwości, że tradycje regionalne trzeba chronić. Będzie z pewnością truzimem, gdy powiem, że świadczą one o kulturze narodu, jego historii, rozwoju. To jasne. Region, każdy region, pobudzał, wzbogacał twórczość wielu wybitnych artystów. Przykładów oczywiście aż nadto. Chopin, Moniuszko, Karłowicz...

Tradycje i obyczaje regionalne były zawsze tym czynnikiem, który najdłużej, przez wieki nieraz opierał się próbom wynarodowienia. Czy dziś wolno nam rezygnować z tego potężnego czynnika przy tworzeniu socjalistycznej kultury?

Pytanie jest oczywiście retoryczne.

Napisałem wczel, że w stosunku do regionalizmu najwięcej jest obojętnych. I ci są — śmieć twierdzić — najgorsi. Nie przeciwnicy — bo w końcu za nimi stoją jakiegoś obojętne słusze czy niesłusze — racje.

Powiedzmy słowo o regionalizmie w Łodzi. Działają tu kilka zespołów uprawiających tańce ludowe. Będzie to popularny „Harnam”, zespół ŁDK, Zakładów Marchlewskiego... W województwie podobnie — Łowicz, Skierzwice, Sieradz... Wspólna cecha tych zespołów jest stylizacja ludowości. Czasem stylizacja idąca tak daleko, że zabiera się autentyczny, prawdziwy charakter regionu. Często zespoły te realizują wizję „jak przeciętny mieszczuch wyobraża sobie regionalny taniec, przyspiewkę, gawędę”. Ale zespoły te są potrzebne, stylizacja (w przywołanych oczywiście rozmiarach) jest potrzebna i nie występuje przeciwko nim. Pożyteczne wyróżnia się tu „Harnam”, którego stylizacja nie gubi autentyzmu ludowego. Zespoły te posiadają niemałe środki finansowe, dość powiedzcie, że 30 minut tanecznego programu w pewnym łódzkim zespole kosztuje 200 tys. złotych.

Potrzebne są zespoły dające obraz ludowości, ale jeszcze bardziej potrzebne są zespoły autentyczne. Ich potrzeba i znaczenie jako analogii, jako czynnik utrwalający wartości ulotne, a cenne nie ulega żadnej wątpliwości. Z nich w końcu mo-

gą czerpać zespoły stylizujące jak z nieprzebranej skarbnicy wartości ludowych. Takim zespołem-autentycznym był Chłopski Zespół Regionalny w Białej (pow. łódzki). Niestety był. Dziś, z prawie 50-osobowego zespołu pozostała garstka 8 osób.

I tu właśnie wróćmy do Obojętnych. Zespół w Białej miał oczywiście swoich przeciwników w gromadzkiej radzie, ale byli to przeciwnicy nie z pozycji regionalizmu, tylko zwykłych, przyziemnych personalnych zawiści i rozgrywek. Ludzi tych już dawno nie ma na stanowiskach gromadzkiej w podłódzkiej wsi, ale także... nie ma zespołu. Pozostała ósemka zapaleńców kierowana przez Zbigniewa Hauke — słuchacza reżyserii u Leona Schillera, człowieka wyrosłego w regionie, kochającego jego kulturę i tradycje, zbieracza folkloru i muzyka.

W maleńkiej chatce Mariany Szczepaniak ze wsi Warszycze zespół ten zbiera się na próby prowadzone przy naftowej lampie. Przyjeżdżają ci zapaleńcy po kilkanaście kilometrów z Wypychowa i Zabokrzek, Czernikowa i Rogaszyzna — bez zwrotu kosztów za bilety PKS, bez diet i dotacji.

Co każe tym ludziom bez żadnej pomocy znikąd prowadzić swoje dzieło ocalania od zapomnienia tekstów i melodii, tańców, gadek, powiezonek? A to ich dzieło ocalania jest niebywale potrzebne. Otóż ten łączący tak blisko Łódź fragment województwa zachował wartości stare, nieskazywane, często sięgające nawet średniowiecza o czym świadczą charakterystyczna melodyka i rodzaj



gam. Prowadzą więc — pod kierunkiem specjalisty z prawdziwego zdarzenia — pracę wielką, istotną i potrzebną.

Ala czemu — wołam wielkim głosem — przy naftowej lampce, czemu bez pomocy znikąd, czemu tu na miejscu urzędnicy nie chcą tej ich pracy uznać skoro została ona oceniona przez kompetentnych w Instytucie Sztuki Ludowej?

Ze nie ma proroków we własnym kraju? — tak, to może być wytłumaczenie, ale

to nie jest usprawiedliwienie.

Przypominał sobie o resztkach zespołu z Białej, kiedy w ub. roku obchodzono uroczystości XX rocznicy PRL. Wówczas zespół powołano znów do życia — występował na eliminacjach — zdobył szereg nagród, za kapelę, za gawędę, za przyspiewki. Chłopski zespół występował wtedy w łódzkiej Filharmonii, zbierał oklaski i pochwały — zbierał pochwały urzędnicy chlubiący się nim w sprawozdaniach i wypinający pierś po orderzy.

Potem skończyły się obchody i zespół z Białej wrócił do izby oświetlonej naftową lampą, wrócił do chaty starej Szczepaniaczki, bez pomocy, dotacji, uznania.

Jest coś nieprawdopodobnego w tej karygodnej nonszalancji, z jaką potraktowano tych ludzi z małych wsi powiatu łódzkiego. Pozwolił im znów wrócić do trudności i przeszkód w prowadzeniu swej jakże istotnej kulturalnie pracy. Bo rzecz



w końcu nie w tym, że Hauke „dostał wymówienie”, że oficjalnie przestał kierować zespołem. Ten folklorysta, zbieracz, reżyser i muzyk wyrosły z łączącego regionu i w tym regionie żyjący do dziś i tak grupuje wokół siebie ludzi o takim jak on umiłowaniu regionu. I tak prowadzi próby, uczy, zbiera zabytki kultury... Ale czemu ma wokół niechętnych sobie urzędników? Czemu ta niechęć lub obojętność doprowadziła do rozbitcia jednego z nielicznych w naszym województwie zespołów-autentycznych? Zespołu, którego utrzymanie kosztowało zaledwie 40-50 tys. zł rocznie?

Są to pytania, na które reporter odpowiedzieć nie potrafi. Może się jedynie domyślać, że kryje się za tym prawdopodobnie zwykła, przyziemna i podława zawiść i personalne gierki małych ludzi. Oni nie są przeciwnikami regionalizmu. Oni są po prostu obojętni. Nie widzą potrzeby ocalania od zapomnienia skarbowi kultury ludowej, nie widzą, że ktoś samotnie podejmuje tę pracę. Po prostu są obojętni. Nie ich to nie obchodzi. Kultura jest dla nich sprawą zbyt małą, zbyt ulotną i iluzoryczną.

Nie chcę używać wielkich słów. Sprawa osamotnionej w swej pracy grupki ludzi jest sprawą przykra. Nie chcę tym artykułem wyzwać konfliktów między tymi, którzy są obowiązani mecenasować działalność ludzi z Białej, a tymi którzy tej pomocy potrzebują. Po prostu sygnalizuję zjawisko. Przykre zjawisko. To wszystko co może reporter.

CZŁOWIEK W WIEKU PATRIARCHALNYM

W końcu ubiegłego roku ukazała się w Moskwie nieduża książeczka pod nieco przydługim tytułem „Kalendarz pamiątkowy dat po zarubieżnej chudożestwiej literaturze na 1965 god”. Z polskich pisarzy uwzględniono w niej okrągłe rocznicę urodzin lub śmierci Kazimierza Przerwy-Tetmajera, Leo Belmonta (niestusnie u nas zapomnianego), Wacława Sieroszewskiego, Jana Parandowskiego, Leona Kruczkowskiego, Michała Kajki, Jerzego Żulawskiego, Bolesława Prusa, Stanisława Witkiewicza (ojca). Anonimowego Słonimskiego, Jana Wilkora, Adama Ważyka i Władysława Reymonta. Taką rocznicową książeczkę winno się właściwie wydawać każdego roku, by przypominała nam ona o tym, o czym pamiętać nie jesteśmy w stanie. Ale rosyjska publikacja, o której mowa, zainteresowała mnie nie tylko ze względu na naszych polskich autorów. Także, a może nawet przede wszystkim z uwagi na pisarzy obcych, lecz nam bliskich. „Kalendarz rocznic” przy pominięciu, że 8 września tego roku ku Franciszek Theodor Csokor ukończył 80 lat życia. Można by rzec: Csokor wszedł w okres patriarchalny. Niewielu mamy w Europie autorów, którzy dożyli tak pięknego wieku. We Francji: Francois Mauriac, w Ameryce: Ezra Pound, w Belgii: Ernest Andre Jozef Claes i właśnie w Austrii: Franz Theodor Csokor. Mamy wszelkie powody ku temu, by zwrócić uwagę na tego ostatniego. W tym miejscu pretensją do redaktorów „Twórczości”, tegoroczny numer sierpnia wy poświęcił panowie w całości współczesnej literaturze austriackiej. Numer jest ciekawy i zasługuje na pochwałę. (Przypomnijmy w nawiasie, że w kwietniu ukazał się w Wiedniu polski numer austriackiego miesięcznika „Wort in der Zeit”). Ale jednego zrozumieć nie mogę: dlaczego redaktorzy „Twórczości” pominieli w ogóle Franza Theodora Csokora? Rzecz jest w najwyższym stopniu przykra i po prostu nie wybaczalna. Franz Theodor Csokor, najstarszy z żyjących pisarzy austriackich, prezes austriackiego PEN-klubu, poeta, powieściopisarz i dramaturg, jest zarazem jednym z najbardziej zasłużonych cudzoziemców dla kultury polskiej. Wiadomo powszechnie, jakie są jego zasługi, przypomnijmy je tutaj w dużym skrócie. Dzięki Csokorowi, doszło do wystawienia w wiedeńskim Burgteatrze „Nieboskiej komedii” Krasiniego, którą pisarz ten przełożył i za-

adaptował. Po zajęciu Austrii przez wojska hitlerowskie w marcu 1938 roku, Csokor przedostał się do Polski, gdzie pisał dramaty o królowej Jadwidze. Po wybuchu wojny uciekł wraz z uciekinierami polskimi do Rumunii, gdzie pisał książkę „Jako cywil w polskiej



Autor felietonu w rozmowie z F. Th. Csokorem.

wojnie”, która już w 1940 roku ukazuje się po niemiecku w Hollandii i angielsku w Londynie, będąc pierwszą literacką relacją naucego świadka, z którą zapoznają się świat zachodni. Niedawno ukazał się tom listów Csokora, w których trzy czwarte miejsca zajmują sprawy polskie z czasów pobytu autora w naszym kraju i z wojennej tułaczki.

Parę miesięcy temu pewien dziennikarz przyszedł do Csokora po wywiad. Oto, co m. in. powiedział ten siedziwy już dziś pisarz: „Polska jest moim przez znaczeniem. Na podstawie wieloletnich kontaktów mogłbym określić Polaków jako Włochów Słowiańszczyzny. Ta sama głęboko zakorzeniona kultura łacińska, te same historyczne tradycje humanizmu i tolerancji. Taki model psychiczny człowieka bardzo mi osobliście odpowiada. Poza tym na moje zainteresowanie Polska, zwłaszcza literatura i teatr polski, wpłynęły tradycyjne kontakty między naszymi krajami, sięgające daleko w przeszłość — wspomnę postać króla Jana III Sobieskiego — czy bliższą w czasie ale niezwykle żywą łączność kulturalną Krakowa z Wiedniem u schyłku ubiegłego wieku.”

Csokor pisał wielokrotnie o literaturze i kulturze polskiej w pismach austriackich i szwajcarskich. Przebywając po opuszczeniu Wiednia w Warszawie był stałym korespondentem bazylijskiego dziennika „Baster Nachrichten”, w którym regularnie ukazywały się jego artykuły o Polsce. Nie muszę do dawać, bo rozumie się to samo przez się, że rzeczy przez niego pisane, nacechowane są zrozumieniem, znajomością i umiłowaniem spraw polskich.

Jak w świetle tego wszystkie go pojąć fakt nieobecności Csokora w austriackim numerze „Twórczości”, przygotowanym przez naszych pisarzy, m. in. przez Jarosława Iwaszkiewicza, przyjaciela Csokora jeszcze sprzed wojny? We wspomnianym już wywiadzie Csokor mówi: „W Warszawie znalazłem bardzo serdeczną opiekę ze strony wybitnych pisarzy polskich, a moich przyjaciół: Jana Parand-



Autor felietonu w rozmowie z F. Th. Csokorem.

owskiego, Jarosława Iwaszkiewicza, Juliana Tuwima, Leopolda Staffa, Ludwika Hieronima Morstina. Takiej lekceży przyjaźni się nie zapomina.” W marcu bieżącego roku Csokor wziął udział w organizowaniu Tygodnia Polskiego w Wiedniu, w czasie którego wygłosił odczyt o polskiej literaturze. Kiedy w r. 1959 polecałem do stolicy Austrii, pierwsze swoje kroki skierowałem do Csokora. Przyjął mnie jak najserdeczniej, odbierał książkami, okazał życzliwą pomoc. Od tej nory jestem z nim w kontakcie listowym, w formie eseju „Z południa i północy” poświęciłem mu specjalny szkic pt. „Portret przyjaciela”, a gdy wiosną tego roku przybył do Warszawy, polecałem tam, by móc się z nim spotkać i porozmawiać. Franciszek Theodor Csokor jest jedną z najniekierniejszych postaci w literaturze obcojęzycznej. Na spotkaniu w warszawskim PEN-klubie powiedział on najczystsza polszczyzna: „Wszystcy Polacy są bliscy mojemu sercu”. To nie są czcze słowa. Za nimi kryją się czyny.

Jan Kłopotowski



O RYBCE NAJGUSTOWNIEJSZEJ I GARZE ALEKSANDRZEJ

Zagorzał czytelnik zapomnianych, zakurzonych dzieł — znajdzie pasjonujących historią, lecz zwykłe nie docierają one do przeciętnego czytelnika. Donata Cieplickiego-Zielińskiego musieli przetworzyć całe biblioteki od lat nie ruszane przez nikogo, poza naukowcami, by zebrać te pasjonujące, niepowiadane zbiory anegdot, historii, przygód, nie tylko miłosnych, naszych przodków. Pisze o tym, bo trud autorki uroczej książki gozdziej jest uznania. „Staropolskie romanse” to smutne i wesołe, sentymentalne i rubaszne opowiadania o miłości, oparte są na materiale autentycznym — tym więcej radość dla czytelników, zwłaszcza

tych, którzy miło wspominali lekturę „Powiastek ucieleśnionych a swawolnych” niedawno wydanych przez PIW. Książka Donaty Cieplickiego-Zielińskiej zawiera historię od wieku XIII do XIX, od „Historii barzo żalosej o Lukierdii”, żonie Przemysława II, do historii „Ocalonej z Sodomy”. Zofii Chlopickiej, nieszczęśliwej narzeczonej Bajkowa, sekretarza do specjalnych poruczeń i ulubionka Nowosiłkowa. Autorka starała się, by przemawiały dawne dokumenty, pamiętniki, raporty. Fragmenty wyjęte z owych nie nadających się często już do czytania, szparagów połączyła własnym komentarzem. Proszę się nie obawiać, że urok starych tekstów został w ten sposób przydumiony. Przeciwnie, nie narzucający się komentarz, dyskretnie i oszczędnie archaizowany język wydobyl wszystkie uroki cytowanych fragmentów. A gawędy są naprawdę zajmujące. Zwłaszcza te, o sprytnych kobietach, które, ma się czasami wrażenie, lepiej umiały wykorzystać wszystkie głębości mężczyzny, niż nasze, dwudziestowieczne piękności. Wiemy, że Polska w XVIII i XIX wieku słynęła z pięknych kobiet w całej Europie, ale które z nas

zdaje sobie sprawę, jak bardzo prawdziwe były powszechne wtedy słowa, może nawet z dumą recytowane czasem przez mężczyzn — „My rządymy światem a NAMI KOBIETY!!!” Ale nie przesadzajmy. Donata Cieplickiego-Zielińska nie uwziela się na mężczczyzn. Nie tylko historie pantoflarzy i rogaczy znała, lązy się w jej książce. Mężczyźni też tak potrafiłi, czasem nawet, jak znany Franciszek Karpiński, byli przysłówowymi Don Juanami, ale z jakim wdziękiem zdobywali i porzucali swoje kochanki... Słowem książka bardzo interesująca — jest i niecodzienna, czasem wręcz fascynująca fabuła i sensacja dzięki autentyczności całego wykorzystanego materiału. Pięknie wydana i bogato ilustrowana pozycja sprawi na pewno wiele przyjemności każdemu.

J. P.
Donata Cieplickiego-Zielińska: Staropolskie romanse. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1965, cena 24 zł.

„SAD PAMIĘCI”
Poemat Igora Isajewa „Sad pamięci” w bardzo krótkim czasie doczekał się w ZSRR drugiego wydania. W prasie literackiej

można było znaleźć wiele pochlebnych recenzji. W poemacie autor mówi o roli człowieka stojącego w obliczu szczególnych wydarzeń historycznych, którzy nie zajmują biernego postawy. Miejscom akcji utworu są Niemcy zachodnie, a bohaterami — Horst i Kurt i Hans — byli żołnierze hitlerowscy. Oczywiście, hiełatwy jest do rozwiązania psychologicznego wozel, zawiązany przez militaryzm, w świadomości wielu oszukanych ludzi. Bohaterowie Isajewa, umiejętnie prowadzeni przez autora, opuszczają błędne pełne niepokoju kole. Jednakże najważniejszym bohaterem poematu jest Pamięć, która nie pozwoili Horstowi, Kurtowi i Hansowi po raz drugi popełnić te same błędy. Bo wtem sad pamięci jest najsurowszym sądem. Znakomita, pełna filozoficznego zamyslenia o wojnie i pokoju, o losach człowieka współczesnego jest część piąta poematu, zawierająca szerokie historyczne uogólnienia i horoskopy na przyszłość.

Poemat Isajewa, utrzymany w tradycyjnej konwencji, to niewątpliwie jedna z czołowych pozycji współczesnej poezji radzieckiej. Odnacza się on wielką kulturą słowa.

Przekład tego poematu dokonany przez L. Lewina jest na ogół poprawny, ale w niektórych miejscach dużo traci i nie wytrzymuje porównania z ładnie brzmiącym, pełnym ciekawych rymów oryginałem.
R. G.

Jęgor Isajew: „Sad pamięci” („Sad pamięci”). Przekład: Leopold Lewin, Iskry, Warszawa, 1965 r., str. 96, cena 10 zł.

„KRAKSY I WZLOTY”

Zainteresowanym problematyką lotniczą i historią Wojska Polskiego czytelnikom polecić możemy wydaną ostatnio przez MON książkę Adama Kurowskiego „Kraksy i wzloty”. Wspomnienia tego znanego już czytelnikom autora obejmują okres jego siedemnaścieletniej służby w lotnictwie okresu międzywojennego. Ten dość długi okres pozwolił mu na przedśledzenie rozwoju naszego lotnictwa od samych prawie początków, aż do chwili rozpoczęcia kampanii wrześniowej. Odbyl ją na stanowisku oficera sztabowego armii „Poznań”, która miała duży wkład w sławnej bitwie nad Bzurą. Lotnictwo polskie w porównaniu z innymi pań-

stwami dysponowało niewielką liczebnie siłą, a posiadany sprzęt był bądź przestarzały, bądź też nie dorównywał maszynom niemieckim. Przebieg kampanii lotniczej nad Polską znamy już z wydanych dotąd opracowań. Wspomnienia Kurowskiego, dzięki dokładnemu omówieniu stanu i stosunków panujących w lotnictwie na długo przed wybuchem wojny, pozwalają na przeanalizowanie i zrozumienie przyczyn takiego, a nie innego jej końca. Równocześnie odsłania się jeszcze jeden rozdział bitwy nad Bzurą — udział i znaczenie operującego w tym rejonie lotnictwa, szczególnie rozpoznawczego. Stała informacja o ruchach i rozlokowaniu sił nieprzyjaciela miała decydujące znaczenie w działaniach otoczonych i odciętych od reszty kraju armii polskich.

Książka Kurowskiego wzbogaca wydawnictwo wojskowe, jakie posiadamy o przedwojennym lotnictwie polskim. Dla zainteresowanych giganów będzie na pewno ciekawą lekturą.
L. ST. R.

Adam Kurowski — „Kraksy i wzloty” — Wyd. MON, Warszawa, 1965, wyd. I, str. 323, cena 22 zł.

TEATR POWSZECHNY W TOKIO

Rozmowa z dyr.
Romanem Sykałą



Występy aktorów Teatru Powszechnego w Tokio w czasie Kongresu Esperanciego, który odbył się tam w sierpniu, to jeszcze jeden sukces polskiej sztuki scenicznej. Wyjazd do Tokio stał się również nowym dowiadczeniem, zetknięciem się ze sztuką egzotycznego Wschodu.

Przeprowadziliśmy rozmowę z dyrektorem Teatru Powszechnego, Romanem Sykałą, chcąc dowiedzieć się od niego jak najwięcej o sprawach, z którymi bardzo rzadko spotykamy się na łamach prasy polskiej

ODGŁOSY: Co uderzyło Pana najbardziej po przyjeździe do Japonii? Jakże były pierwsze wrażenia?

DYR. SYKAŁA: Zaskoczyło nas przede wszystkim powitanie. Tętno ludzi, tablice z różnojęzycznymi napisami, a wśród nich i po polsku. Mata Japończyka witała nas transparentem - „Uczę się języka polskiego. Witam Teatr Powszechny z Łodzi”. Niedaleko stała grupa ludzi: „Czekamy na Teatr Powszechny”. Zaoptimalizowali się nami rzeczywiście troskliwie. Wszedliśmy od razu do samochodu - oczywiście klimatyzowany - w Tokio panuje straszliwy upał. Większość taksówek posiada klimatyzację. Urządzenie bardzo kosztowne, ale bez niego przebywanie w jakimkolwiek pomieszczeniu byłoby niemożliwe.

ODGŁOSY: Gdzie występowałyście, jak reagowano na sztukę. Jak przyjęli polski teatr japońscy reżyserzy?

DYR. SYKAŁA: Ledwie zdążyliśmy dojechać, już nas obiegła grupa Japończyków, pytając o szczegóły przygotowania sceny do spektaklu. Pytali tak dokładnie, że roz-

mowa zmieniła się w trzygodzinna konferencja. Dekoracje wykonali natomiast w ciągu 3 dni, a postawienie ich zajęło im pół godziny. Japończycy pracują w białych rękawiczkach. Bardzo szybko i dokładnie wykonują swoją pracę. Byliśmy zdumieni, gdy okazało się, że uwzględniono wszystkie nasze wskazówki i to bardzo precyzyjnie.

ODGŁOSY: A same występy?

DYR. SYKAŁA: Spektakle nasze odbywały się w ogromnym budynku w centrum Tokio. Sala widowiskowa mieściła się na siódmym piętrze, 850 miejsc na widownię. Na dziewiątym piętrze jest sala na 900 miejsc. Co parę minut oklaski. W czasie spektaklu ciągle robią zdjęcia. Nie mogliśmy się przyzwyczaić do błysku fleszów. Po spektaklu otoczyła nas publiczność, Ambasada polska w dowód wdzięczności zaprosiła tego wieczoru ludzi związanych z nami na bankiet.

ODGŁOSY: Oczywiście nie zapomnieliśmy o okazji i obejrzeć teatr japoński. Czy widział Pan przedstawienia teatru Kabuki lub No?

DYR. SYKAŁA: Widziałem fragmenty Kabuki. Całość niemożliwa do strawienia przez Europejczyka. Widowisko zaczyna się o 9 rano i trwa do godz. 23. Są przerwy na posiłki. Bufet oplaćony jest od razu przy biletach, na którym nawet wyszczególniono potrawy, które widzieliśmy sobie konsumować. Całe widowisko składa się z trzech części. Pierwsza i ostatnia to dużo dialogów, obejrzałem tylko fragmenty, całość i tak bym nie zrozumiał. Właściwie wybrałem się specjalnie na część środkową - baletowo-pantomimiczna. Widowisko bardzo kolorowe, piękne dekoracje - zresztą umowne - piękne, kolorowe stroje. Mieszają się tam elementy opery, baletu, pantomimy, dramatu poetyckiego - wszystko, cokolwiek potrafił wymyślić teatr. Grają sami mężczyźni - role kobiece również.

Zaskoczyła mnie publiczność. Wszyscy przyszli w strojach narodowych - kimono. Występy Kabuki są bardzo jasne, obrzędem, niż teatrem w naszym rozumieniu tego słowa.

ODGŁOSY: W Japonii istnieje jeszcze teatr innego typu, który można by nazwać „europejskim”. Jak wygląda ten teatr?

DYR. SYKAŁA: Widziałem „Ondyne” Giroudoux. Pierwszy i drugi akt bardzo operowy. Trzeci nieco odmienny. Bardzo duża dyscyplina aktorska. Dużo efektów widowiskowych. Na scenie znaj-

dają się nawet fontanny. Wszystko to stwarza iluzję prawie zupełną.

ODGŁOSY: W jakim stopniu można mówić o żywotności idei teatralnych Europy w Japonii?

DYR. SYKAŁA: Rzeczywiście wpływy Europy są bardzo duże. Uczestniczyliśmy w dyskusji na temat teatru. A propos - odbywała się ona w świątyni buddyjskiej. Oczywiście trzeba było zdjąć buty. O krześle nie można było nawet marzyć. Kleczeliśmy dopóki to było możliwe. Ale dyskusja była tak atrakcyjna, że nie można było liczyć na szybkie jej zakończenie. Wreszcie nogi zaczęły nam drętwieć i musieliśmy poprosić o pozwolenie wyciągnięcia ich. Po naszej prośbie zapanowała minutowa cisza. Przeklinaliśmy już w duchu na szatańską odwagę, ale stało się. Wreszcie odezwał się jeden z Japończyków oznajmiając nam, że pragnienia nasze możemy zaspokoić. Skorzystaliśmy z tego skwapliwie, jednak niewiele to pomogło, bo zaczął nam cierpnąć kark. Nie śmieliśmy już prosić o pozwolenie położenia się...

Napociliśmy się niemalo i z o wiele poważniejszych powodów. Nikt nie spodziewał się dyskusji na tak wysokim poziomie. Japończycy są bardzo ciekawymi Europejczykami. Dla nich wszystko jest ciągle jeszcze żywe, aktualne. Dopytują się z równym zaciekawieniem o teorię Stanisława Skłodowskiej, o problemy teatru Brechta, teatru awangardowego, zwłaszcza francuskiego. Wiedzą bardzo du-

żo, tak że byle czym zaimportować im nie można. Różnorodność wpływów daje się zauważyć również na scenie.

ODGŁOSY: Może powrócimy już z tych wędrowek do Łodzi. Co ciekawego ujrzymy w bieżącym sezonie na scenie Teatru Powszechnego?

DYR. SYKAŁA: O całym sezonie trudno jeszcze mówić. Pozytywnie pewne w tej chwili, to dwie sztuki o tematyce współczesnej: Szypulskiego „Śniadanie, obiad i kolacja” i Teda Willis - „A Slow Roll of Drums” (o młodzieży big-beatowej). Zaplanowaliśmy adaptację książki Johna Reeda - „10 dni które wstrząsnęły światem”. Wystawimy znaną sztukę hiszpańskiego dramaturga Lope de Vegi „Pies ogrodnika”. Niewątpliwą atrakcją powinna być musical J. Lennera i P. Loewe „My Fair Lady”.

W tym sezonie przyjedzie do nas radziecki reżyser N. P. Akimow. Nie wiemy jeszcze dokładnie, jaką sztukę zechce wziąć na warsztat. Będzie to jednak prawdopodobnie albo „Pluskwa” Majakowskiego, albo „Maskarada” Lermontowa.

Rozmawiał:
JERZY PORADECKI

Książki

nadesłane

- Bolesław Prus - KRONIKI, tom XV, PIW, cena złotych 50.
Irena Turcka - W KRECU TANCA, Iskry, cena złotych 30.
Roger Garandy - DROGA ARAGONA, PIW, cena zł 40.
Robert Stiller - KLATIN BRAT KLATONA, WI., cena zł 40.
Stefan Majchrowski - PAN FREDRO, LSW, cena zł 24.
Waldemar Babinicz - DZIAŁEŻ, WL., cena zł 20.

SPEKTAKLE tygodnia

FILM		
WOLNOŚĆ I WŁÓKNIARZ	„Popioły”, 48 seansów	16.774 widzów 70%
POLONIA	„Tom Jones”, 35 seansów	13.446 „ 55%
NOWY	„Bliźniaki”, 4 spektakle	2200 widzów 80%
	„Życie Galileusza”, 2 spektakle	1100 „ 80%
MALA SALA	„Lato w Nohant”, 3 spektakle	540 „ 90%
	„Drewniana miszka”, 1 spektakl	200 „ 100%
POWSZECHNY	„Dziady”, 2 spektakle	1300 „ 100%
	„W 80 dni dookoła świata”, 1 spektakl	600 „ 90%
JARACZA	„Kaligula”, 2 spektakle	650 widzów 50%
	„Lord z walizki”, 2 spektakle	900 „ 70%
OPERETKA	„Ptasznik z Tyrolu”, 7 spektakli	6496 widzów 83%
OPERA	„Verbun Nobile”, 1 spektakl	270 „ 40%
	„Janek”, 1 spektakl	260 „ 40%
7.15	„Samobójstwo doskonałe”, 2 spektakle	430 widzów 60%
	„Latające dziewczęta”, 2 spektakle	629 „ 80%
FILHARMONIA	2 koncerty symfon.	681 słuchaczy 50%



WESOLE MIASTECZKO

29.IX w kolejnej kronice filmowej pokazano fragmentek śląskiego „wesolego miasteczka”. Wpadłem w zadumę: co Łódź proponuje młodemu ludziom, snującym się po podmiurze i wieczorem po Piotrkowskiej, potracającym przechodniów, raniącym uszy obrzydlawymi słowami, wypowiadającymi głośno i bez zamyślenia, gdyż MO jakos na to, niestety, nie reaguje? Kino? Owszem, Teatr? Nie każdy interesuje się teatrem. Kawiarnia? Niełatwo w niej o znalezienie wolnego stolika. Kawiarnia w dodatku to jeszcze nie rozrywka, jeśli ktoś nie potrafi zająć się inteligentnie prowadzoną rozmową. (A jeśli ktoś potrafi, to właściwie nie potrzebuje opieki.). Świetlice i kluby? Oj, różnie one wyglądają. Niezbyt świetlice przypominają kosztowne grobowce o dużej kubaturze. Wesole miasteczko, nie sprowadzające się tylko do karuzeli, „Kuruzeli” i strzelnicy, to idea stara, ale na pewno zasługująca na realizację. Lament wesole miasteczko na którymś z placów, zimą w hał. Czy tylko jedno? To już dawna sprawa. Ze jednak dotąd, pomimo tylu dyskusji na temat wolnego czasu, przeprowadzanych przy różnych okazjach i na różnych szczeblach, nie rozpatrzone konkretnie tej propozycji - dziwić się wypada. Ze wargami chuliganów? Od czego rozsądna opieka nad takim miasteczkiem? Pamiętajmy o pilnej, nieodzownej potrzebie różnych postaci rozrywki, bo rzecz na wesolym miasteczku się nie wyczerpuje. Rozrywki, co należy podkreślić, taniej. Przecież dużo zarabiają na popularnych rozrywkach, to znaczy niewspółmiernie więcej dokładają do poprawczaków i odwyków, do służby porządkowej, do wymiaru i egzekwowania sprawiedliwości.

Przepraszam za dywagje.

Cóż, może tygodniowy sprawozdawca dorzuci do obiegowych sądów o wyjątkowo żywej i oryginalnej twórczości Jerzego Szaniawskiego, autora sztuk teatralnych, filozoficznych powiastek profesora Tułki? Cóż można powiedzieć o dobrym przedstawieniu? Ograniczę się do „wyrażenia wdzięczności”.

„Osmu sprawiedliwych”, ich spotkanie z ludnością i władzami Andrychowa w pow. wadowickim - to druga tego rodzaju audycja przeze mnie „odbierana”. O ile turniej miał dostarczać licznych satysfakcji, o tyle ta forma, interesująca w założeniu, jeszcze robi wrażenie czegoś „nie dotartego”. Owszem, ujrzelismy prof. Karola Estreichera, karykaturzystę przedwojennych „Wróbił na dachu” Antoniego Wasiliewskiego, znanego pisarza T. Hołubę, ale dla nich daleko się znaleźć i inne okazje. Potrzeba wytopienia istotnej czyli dołączającej problematyki przedstawianego ośrodka należy do pierwszych. Uroczajniejsza lepszemu czucia artystyczna do drugich. Najpełniej wypadła rozmowa dziennikarza, red. Stronickiej z inżynierem z zakładów andrychowskich na temat kobiet. Do tego wniosku doprowadzają i

burzliwe oklaski uczestników spotkania ze „sprawiedliwymi”. „Chiwu” to jedno z czterech subtelnych, precyzyjnie napisanych, pokrewnych sobie, opowiadań Juliana Strykowskiego, wydanych w tomiku „Imię własne”. Okrucieństwo miłości, okrucieństwo młodości, głuche, na jakiegokolwiek względy, dramatycznie zaprzeczającej normom przyzwoitości (dziewczyzna żąda forsy od zdradzanego, aby móc dłużej przebywać nad Adriatykiem z Chiwo) - o to zasadnicza treść sztuki dramatycznej, jaki dano nam „Studio 83”. Czy pomimo dobrego aktorstwa rzecz była w pełni przystępna, czytelna? Nie sądzę. Adaptatorzy mieli obiektywne trudności do pokonania, gościu Strykowskiemu przy wspomnianej subtelności i precyzji nie we wszystkim poddała się zabiegów. Dlatego odczułem to nie jako samodzielny twór telewizyjny, ale jako właśnie sztukę dramatyczną.

Sztuka czeskiego pisarza Jaroslawa Langer „Drzewo” pomimo wyraźnych słabości jest pozycją cenną, jakich nie spotykamy w naszej współczesnej dramaturgii. Stanowi próbę drenazu przeszłości, należy do kategorii literatury obrachunkowej.

Alegoryczne drzewo, bardzo umownie wręcz sztucznie skonstruowana sytuacja ludzi w małym domku w górach, pobawionych na całą zimą kontaktu ze światem - to niezbyt szczęśliwy początek, ale chodzi o sprawy wyjątkowo doniosłe: dogmatyk chce na siłę uszczęśliwić mieszkańców domku, doktryner pochlebstwem zjednuje Jana, którego, jeśli ktoś się uprze, można uważać za uosobienie ludu. Dramatyczna dyskusja dotyczy go, od postulatów, rozróżnień między możliwościami, tak nadużywanym pojęciem konieczności, dotyczy dyskredytacji celu przez niewłaściwe środki, sprawy kontrolowania środków, i dodabam, tych, którzy środkami dysponują.

Stędlę się bieg sztuki z zainteresowaniem, Stanisław Lapiński w roli Jana grał oczami i mimiką twarzą, szczególnie więc pasował do warunków telewizyjnych, Janusz Kłosiński stworzył postać uczynną, między innymi, tak nadużywanym pojęciem konieczności, dotyczy dyskredytacji celu przez niewłaściwe środki, sprawy kontrolowania środków, i dodabam, tych, którzy środkami dysponują.

Stędlę się bieg sztuki z zainteresowaniem, Stanisław Lapiński w roli Jana grał oczami i mimiką twarzą, szczególnie więc pasował do warunków telewizyjnych, Janusz Kłosiński stworzył postać uczynną, między innymi, tak nadużywanym pojęciem konieczności, dotyczy dyskredytacji celu przez niewłaściwe środki, sprawy kontrolowania środków, i dodabam, tych, którzy środkami dysponują.

„Pani Zosia Bąk nie była zadawiona. Nie dziwię się jej: uznaje zbyt dogmatycznie prymat formy nad treścią. Jako zresztą osoba znacznie młodszą nie przesłała przez ponure doświadczenia, których jej rzecz jasna nie żywe. Zycze jej natomiast większego obydwój waleśkiego, chociaż z tą szablona o tym, że tyle jako że to jesienny debiut naszego ośrodka TV.”

„Pani Zosia Bąk nie była zadawiona. Nie dziwię się jej: uznaje zbyt dogmatycznie prymat formy nad treścią. Jako zresztą osoba znacznie młodszą nie przesłała przez ponure doświadczenia, których jej rzecz jasna nie żywe. Zycze jej natomiast większego obydwój waleśkiego, chociaż z tą szablona o tym, że tyle jako że to jesienny debiut naszego ośrodka TV.”

„Pani Zosia Bąk nie była zadawiona. Nie dziwię się jej: uznaje zbyt dogmatycznie prymat formy nad treścią. Jako zresztą osoba znacznie młodszą nie przesłała przez ponure doświadczenia, których jej rzecz jasna nie żywe. Zycze jej natomiast większego obydwój waleśkiego, chociaż z tą szablona o tym, że tyle jako że to jesienny debiut naszego ośrodka TV.”

O FILMACH DOBRZE I ZŁE



Bezkrzesne piaski. Miliardy drobnych, przesypanych się ziarenek. Jeśli kilka z nich wzięte pod szkło mikroskopu, można wyczarować obraz niczym z bajecznej grot, urzekający swymi fantastycznymi, śmiały, kanciastymi kształtami. Pod szkłem powiększającym te same kształty nabierają miękkości, „oddalone” już trochę od ludzkiego oka. Wyglądają jak zwir, który stracił swą chropowatość, nabierają szlachetności szlifowanego kryształu. Bezkrzesne piaski. Wiatr przynosi je z miejsca na miejsce. Jeśli spojrzeć na nie z wysoka, wyglądają przy silniejszych podmuchach niczym mgliste delikatne welony snujące się nad ziemią. Ale to tylko złudzenie. Te piaski to śmierć. Zasypany wszystko. Nie zpuści tu korzeni żadna, nawet najbardziej odporna roślina. Nic nie mać szlachetnej jednostajności krajobrazu piasków. Nużąc bezkrzesne przypominają niebo rozciągnięte nad nimi, ziewają się z nim czasem do tego stopnia, że traci się zupełnie orientację w przestrzeni, poczucie kierunku. Żaden malarz nie potrafi wyczarować z obrazu tego, czego w kilku sekundach dokona snop promieni słonecznych, który wdarł się pomiędzy wierzchołek wydmy i niebo. Jakże cudowna, niesłychanie zmienna w nastrojach poezje posiada krajobraz piasków!

Tęską to właśnie poezją rozpoczyna się KOBIECIA Z WYDM. Obraz w tym filmie jest urzekająco piękny. To już nie zwykła sztuka operatorska, to arcy mistrzostwo! Nowe światy odkrywa dla nas kamera. W ramkach kadru zamyka się to, o czym tak bardzo marzyli impresjonści: rzeczywistość utrwalona w całej swej ułotności powodowanej ruchem, przebliskiem światła, sposobem patrzenia. Owe przepiękne obrazy nie są bynajmniej ozdobnikami dodanymi tylko do filmu. Popis wirtuozerii operatorskiej trwa przez cały czas - przez okrągłe dwie godziny. Ten film na nowo odkrywa dla filmu zbliżenia. Piasek sypący się na spręży, na ludzkie ciało. Piasek na plecach, piasek na szyi. Wspaniały kontrast faktury ciała ludzkiego i martwych ziarenek piasku. Poezja piasku plus poezja ciała. Wycinek twarzy w wymiarze całego ekranu - skóra rzeźbiona zmęczeniem w zmarszczki, zlepione kosmyki włosów opadające na widoczny kawałek czoła, na oko. Oto powoli podnosi się powieka, ukazując przepaść źrenicy. Koniec ołówka odczony „plątkami” poduszeczek palczono ludzkiej ręki. Ciągłe zafascynowanie obrazem. Obustronne: i widza, i operators.

Bohater jest entomologiem. Wśród piasków szuka ciekawych okazów owadów. Jeden ruch ręki entomologa i owad gramolący się spod ziarenek schwytyany jest do kolekcji. Przytwarzając szpilka do tekturki nadaje się do szczegółowej analizy, opisu, silyfikowania. Człowieka nie można przebić szpilką. Lecz gdyby nawet się dało, wiedza o jego istocie niewiele by zyskała. Człowiek musi pozostać żywy do takiej analizy, musi myśleć, musi działać. Strąca się więc człowieka do obrzymiego dołu w piasku, skąd nie ma wyjścia. Wtedy zaczyna się analiza. Szczegółowa i bezlitosna. Nawet jeśli nie ma na ekranie zbliżeń, odnosi się wrażenie, jak gdyby ów uwieczniony człowiek oglądany był przez szkło powiększające. Na wet czas rozbiła na cząstki w swej jednostajności wydaje się być podany zabiegowi mikroskopijnej analizy. Człowiek - bohater filmu, żywy okaz homo sapiens przeznaczony do opisu cech charakterystycznych tego gatunku musi pozbyć się brzożenia własnej indywidualności, ograniczyć do czynności najbardziej niezbędnych, do odruchów najbardziej prymitywnych. Dopiero wtedy „mikroskop” kamery pozwoli mu myśleć. Tego wymaga badawcza analiza. Dopiero wtedy można mówić „życie ludzkie” wskazując na konkretnego człowieka, choć ma się na myśli abstrakcję - wielkie uogólnienie. Egzemplarz doświadczały, odcięty od cywilizacji, musi wyżyć

wszystkich złudzeń, wyrzec bunt, popaść w rezygnację. Skazany na samotność we dwoje z kobietą z wydm tworzy z nią jętkę parę biblijnych niemal rodziców wygnanych już nie tylko z raju, ale nawet i z ziemi. Mężczyzna ów odwywa najtrudniejszą drogę poznania człowieczeństwa. Ta droga jest dla niego Golgota. Ale owa Golgota nie prowadzi go do boskości, wręcz przeciwnie - ona go z niej odziera. Sprawdza go do specjalnego gatunku zwierząt żyjących na ziemi. Trudno oprzeć się tu sugestii, iż twórca „Kobiet z wydm” chce pokazać w swym filmie prawdę o poznaniu ludzkiej natury: bez odrzucenia złudzeń, bez postawy rezygnacji jest ono niemożliwe. Poznanie to droga się okupuje, droga do niego, to „droga przez mękę”. Ale nad życiem można się także pochylać tylko, podglądając je, sądząc, że to już poznanie. Podobni jesteśmy wówczas do owych prymitywnych mieszkańców wiosek zgromadzonych nad dołem z piasku, bardziej żądnych sensacji niż poznania.

„Kobieta z wydm” wstrząsnęła mną do głębi. To film, którego się nie zapomina. Wspaniały, choć bardzo trudny. Wydaje mi się, że w historii filmu jest on naprawdę wielkim wydarzeniem.

MARIAREL

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

Notatnik KULTURALNY

WIRTUOZKA POWIEŚCI KRYMINALNEJ

Z okazji 75-lecia urodzin sławnej Agathy Christie nazwano ją „First Lady” czyli Pierwszą Damą klasycznej powieści detektywistycznej i ukoronowano akademickimi i innymi zaszczytnymi tytułami. Dochód z honorariów za jej książki uczynił bogatą Agathę Christie bogatą. Napisała ona 66 powieści detektywistycznych, 17 sztuk teatralnych, sześć powieści obyczajowych - psychologicznych. Jej utwory ukazują się w 29 językach, światowy nakład wynosi 300 milionów egzemplarzy.

Mówi się o tym, że schemat klasycznej powieści kryminalnej nie odpowiada rzeczywistości. Znaczący tego gatunku powieściowca Raymond Chandler nazwał formę utworu kryminalnego latwą (bezwonną), gdyż starając się opisać rzeczywistych ludzi autor zaczyna im przypisywać nierealne czyny, zmuszony do tego sztucznym schematem powieści kryminalnej. Czyż tymczasem się powieści Agathy Christie? Potrafi ona trzymać czytelnika w napięciu do ostatniej strony. Robiono jej zarzut z tego powodu, że prawie każda postać zachowuje się trochę niernormalnie, ale to właśnie anomalia czy niezwykłość psychologiczna umożliwia autorce utrzymanie do końca klasycznej zagadki, kto zabił?

GOYTISOLO

Książka tego hiszpańskiego pisarza, poświęcona pt. „Popołudnia trefowatych” ukazała się w polskim tłumaczeniu w 1959 roku. W wywiadzie udzielonym „Literaturnej Gazecie” w czasie swego pobytu w Związku Radzieckim pisarz mówił o swej powieści, nad którą obecnie pracuje. Tematem utworu jest dzisiejsza Hiszpania, która z dniem Goytisolo zmieniła się w ostatnich latach, co nie znalazło jeszcze wyrazu w literaturze. Na czym jednak ma polegać ta zmiana, o tym powieściopisarz nie mówił. Powieść, nad którą obecnie Goytisolo pracuje, ma ujawnić prawdziwe oblicze rzeczywistości. Akcja rozgrywa się w roku 1963 w ciągu trzech dni, w których streszczone jest całe życie bohatera. Powieść pisana jest częściowo w Dierszwej osobie, częściowo - w drugiej, jak „Przemiana” Butora („Postawienie lewa stopa na miedziane” listwie, a prawym ramieniem starszy jest daremnie...” itd.), a to wówczas, gdy autor wspomina przeszłość bohatera, wreszcie, częściowo utrzymany jest utwór w tak zwanym „pluralis majestaticum”, którym wypowiada się osoba zbiorowa, jednak nie - lud, lecz konformistę, głosu urzędowego optymizmu i głosiciela ideologii frankistowskiej. Bohater powieści, Alvaro, jest pełen nadziei i marzy o nakreśnieniu filmu o Hiszpanii dzisiejszej. Zamiar nie dochodzi do skutku, ponieważ władze hiszpańskie nie chcą nie boja się bardziej niż prawdy, i zdjęcia zo-

stają przerwane. Alvaro wyjeżdża do Francji, ale nie mogąc znieść dobrowolnego wygnania wraca do kraju. W spotkaniach z dawnymi przyjaciółmi jest świadkiem ich moralnego załamania. Ucieka więc ponownie z kraju. Jego los ma ilustrować tragedię tysięcy Hiszpanów. Nie możemy żyć w Hiszpanii i nie możemy żyć bez Hiszpanii. Goytisolo pracuje w paryskim wydawnictwie „Gallimard”.

M. Y. BEN-GAVRIEL

W Jerozolimie zmarł znany izraelski pisarz i dziennikarz Mojżesz Jakub Ben-gavriël w wieku lat 74. Ben-gavriël zachorował w czasie swej podróży po Niemczech z pobycie we frankfurckiej klinice uniwersyteckiej wrócił pisarz do Izraela, gdzie zapadł ponownie na zdrowie. Ben-gavriël był pod wrażeniem porażki jaką poniósł na festiwalu w Cannes film, którego scenariusz był oparty na jego opowiadaniu pt. „Dom na ulicy Karpiowej”, któ-

tych dziełach, trudno jest inaczej stworzyć coś naprawdę oryginalnego. Wobec tego wysiłają się, żeby wystrzelić sztucznymi fałszywkami „inspiracji oryginalnej”. Niektórzy nawet mają pewne osiągnięcia w tak pojętym pisarstwie, ale to nie dlatego, żeby mieli więcej talentu, tylko dlatego, że jednak mają nam coś do powiedzenia. Na nieszczęście, ponieważ nie chcą nam tego powiedzieć w sposób prosty i zrozumiały, więc ich powieści zdobywają sobie przede wszystkim powodzenie wśród „wtałmniczonych snobów”. Jako przykład pisarstwa wartościowego, a jednak zrozumiałego, przytacza autor felietonu twórczość współczesnego pisarstwa francuskiego Jana Piotra Chabrol, jego książka, powieść pod tytułem „Buntownicy”, ma być przykładem utworu, który zjedna sobie czytelników nie tylko wśród „znawców” (subtelnych) lecz również - wśród szerokiej publiczności, a to dlatego, że jest prawdziwą popularną powieścią. O tej stylu i języku, zdawałoby się (na pierwszy rzut oka) nie ma wiele do powiedzenia,

zespół „Teatru na Taganice” od nazwy placu, gdzie odbywają się przedstawienia. Zespół składa się z młodych adeptów sztuki aktorskiej. Spektakle publiczne i krytyki, że uzdolnionej młodzieży oferowano nową salę w samym centrum Moskwy, a mianowicie, w Teatrze Majakowskiego, przy ulicy Hercena. Przedstawienie zaczyna się na ulicy, gdzie zbiera się tłum widzów. Karty wejścia kontrolują żołnierze w mundurach z 1917 roku z bagnietami na karabinach. Oczywiście, bilety ulęgają zwołtow, gdyż po przedstawieniu służą one jako kupony do głosowania za lub przeciwko przedstawieniu. Za - wrzuca się do czerwonego kosza, przeciwko - do czarnego. Następnie przechodzi się do sali, zbudowanej na wzór uroczej bombonierki w stylu XVII wieku. Kurtyny nie ma. Po cząstce przedstawieniu dają baterie reflektorów, wmontowane w rampę i oświetlające scenę. W spektaklu zastosowano wszystkie formy ekspresji artystycznej: pantomime, śpiew, akrobacje, girisy, maski. Jest w tym wiele z Brechta i Piscatora, być może, ale widownia jest tak porywalna, że zapomina się o porównaniach. Ten rodzaj wielkiego teatru był praktykowany w latach dwudziestych, tak zwanego Proletkultu, ale ten powrót do źródeł jest etapem niezbędnym, szczególnie dla młodych, po okresie błędów i wypa-

sów na rzecz innych. Niestety, zdarza się, że nakazujemy milczenie naszemu sumieniu stojącemu na straży naszego poczucia odpowiedzialności. Konsekwencją praktyczną, wynikającą z zasady poświęcenia, jest to, że nie możemy zajmować się wyłącznie istotami ludzkimi, lecz również mieć wgląd na inne istoty żyjące, których los jest uzależniony od nas.

TRZY RAZY EROS

W Anglii obserwuje się pewne obawy, które niepokoją opinię publiczną. Przed dwoma laty Brytyjczycy przeżywali zjawisko znanej już w Europie „Beatle-histerii”, masowej ekstazy, która wśród dziewcząt wzbudziła grupę czterech długowłosych muzykantów jazzowych. Wśród angielskiej młodzieży rozgorzała gwałtowna wojna domowa. Młodzież podzieliła się na dwa wrogie obozy, jeden - za, drugi - przeciw Beatlesom. Socjologowie, pedagogi, teologowie lamali sobie głowy nad wulkanicznym wybuchem sprzecznosci. Czy przyczyną było znudzenie wynikające z otepiałej zmechanizowanej pracy? Czy tęsknota za przygodą i awanturą? A może - jak tłumaczyli inni - możliwość zatrudnienia (zaraz po opuszczeniu szkoły), która uzależnia młodzież od domu rodzinnego, od autorytetu ojca, i rozluźnia więzy rodzinne? Wszystkie te domysły zostały obalone przez prosty fakt, że widmo tych gorszących obyczajów niekiedy stosunkowo szybko. Znacznie poważniej natomiast przedstawiał się objaw gwałtownego wzrostu chorób wenerycznych wśród młodzieży. Niektórzy socjologowie polecają nadzierać w dobroczynnych skutkach wcześniej zawieranych małżeństw, co się rzeczywiście wśród młodzieży angielskiej daje zauważyć.

W Szwecji natomiast wytworzyła się specjalna sytuacja w tej dziedzinie stosunków międzyludzkich. Od pierwszych dni szkolnych dziewczęta i chłopcy przebywają w klasach razem są przyzwyczajeni do tego, żeby wyobrażać sobie erotyczne traktowanie trzeźwo i rzeczowo. Już od wczesnej młodości wie lu Szwedów i Szwedek „chodzi” ze sobą tworząc po kilka par w grupie, która wspólnie się bawi i uprawia sport. Rodzice, przyzwyczajeni do tej sytuacji nie gorszą się, uważając współczesne życie sportowe, towarzyskie i erotyczne młodzieży za signum temporis. Moralność seksualna w Szwecji jest więc wolna od prudencji i obudy.

Badacze intymnej sfery życia człowieka w Stanach Zjednoczonych stwierdzają, że w Ameryce daje się zauważyć coś w rodzaju „nowej moralności”, albo - jak piszą inni - że stara uczuciowość została zastąpiona przez nową. W każdym razie purytanizm ustąpił miejsca egoistycznemu profesjonalizmowi, a szlifowi zapomniał spóźniony w porównaniu z Europą egzystencjalizm. Ograniczone modne stały się nazwiska Camusa, Sartre'a, Heideggera, „Nowa uczuciowość” jest raczej niesentymentalna, jest eksperymentalna i świadomie zmienna. Oto, charakterystyczne wyznaczenie: „Ceniśmy bardziej latwiejsze dziewczęta. One są czystsze (moralnie). Przerazają nas dziewczęta”.

Z SATYRY CZESKIEJ



Rys. Pavol Lieskovsky

re obrazowało rozbiście i upadek gminy żydowskiej w Pradze. Twórczość literacka zmarłego pisarza izraelskiego obejmowała lirykę, dramaty, eseu, powieści, nowela, eseje. Jedną z jego pierwszych książek „Brama na Wschód” była poświęcona żydowsko-arabskiego w Palestynie. Następnie ukazały się powieści „Gorące życie Osmana Wielkiego”, „Wielbłądy piją z mętnej studni” i inne.

PISAĆ PROSTO I ZROZUMIAŁE

Nieliczni są dziś prawdziwi powieściopisarze, którzy opowiadają nam interesującą historię, otwierającą świat i ludzi jak poeci - epicy - pisze w jednym z ostatnich numerów „Les Lettres Littéraires” autor felietonu o stylu i języku pisarstwa. Natomiast wielu tworzy „literaturę”. To dlatego, mówią nam ci ostatni, że po tylu znakomi-

ponieważ tak wszystko jest tam naturalne i ludzkie. A jednak autor felietonu poświęca rozważaniom na ten temat pół kolumny dużego formatu konkludując ostro, że język i styl „Buntowników” są po prostu przystosowane do tematu, do tego o czym mówimy w powieści. I ta konkluzja byłaby przykładem pozytywnego przepisu na dobrą powieść. A zrelacjonowałem to wszystko dlatego, że sprawa wydaje mi się aktualna i u nas w sporze między zwolennikami nowoczesności a tradycyjnością.

DZIESIĘĆ DNI

W jednym z ostatnich numerów „Les Lettres Francaises” sprawozdawca moskiewski dzieli się z czytelnikami wrażeniami, jakie na nim wywarła adaptacja szesnastego dzieła Johna Reeda, „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”. Adaptacji dokonał młody

czelnik oraz oficjalnego akademizmu. Sprawozdawca jest zdania, że spektakl ten powinien być zaprezentowany w Teatrze Narodów w Paryżu.

ETYKA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA (z niewydanych pism doktora Alberta Schweitzera). Etyka poświęcenia oparta na współczuciu ma charakter wybitnie subiektywny, ponieważ zostawia ona każdemu odpowiedzialność i decyzję, jak daleko może się w poświęceniu dla innych posunąć. Taka postawa zmusza nas aż do sięgnięcia poza granice możliwości, czyli - narazenia własnego życia dla innych. W czasach, które przeżyliśmy, niezadanie by było podobne sytuacji i wiele było takich, którzy się poświęcali dla innych. Ale nawet w bieżącym życiu codziennym etyka poświęcenia - jeżeli nie wymaga od nas najwyższej ofiary, to zmusza każdego z nas do abdykacji z pewnych intere-

POLONICA

HENRYK SZERYNG - POLSKI SKRZYPEK

W amerykańskim magazynie tygodniowym „Time” z 3 września br. znalazł się artykuł o polskim skrzypku, przebijającym stale w Meksyku - Henryku Szeryngu. Na tegorocznym festiwalu muzycznym w Salzburгу Szeryng wystąpił z koncertem a jeszcze przedtem, jak podaje tygodnik, był on z występami w ZSRR, Stanach Zjednoczonych i Japonii. Szeryng mieszka stale w Meksyku, gdzie

jest profesorem muzyki. Po okresie wrzesniowej Szeryng, znający siedem języków, zgłosił się do polskiej armii na Zachodzie i przez pewien czas pracował jako tłumacz przy rządzie gen. Sikorskiego. Tygodnik amerykański podaje, że „Szeryng urodził się na przedmieściu Warszawy - Ze lazowa Wola”. Nie pierwszy to raz cudzoziemcy zdradzają taką ignorancję w zakresie znajomości geografii Polski.

Z LISTY PRZEKLADÓW W NRD

W NRD ukazały się obecnie trzy nowe przekłady z literatury polskiej. Są to: Eliza Orzeszkowej „Bene nati”, Kazimierza Brandysa „Listy do pani Z.” i Adama Schaffa „Marie czy Sartre?”. W dodatku miesięcznym „Neues Deutschland”, który ukazuje się pt. „Literatur 65”, Eberhard Dieckmann opublikował recenzję z

książki Brandysa w formie listu do autora pt. „List do pana B”. Recenzent bardzo chwali utwór polskiego pisarza i podnosi pod niemiłosiernie tłumacza utworu, którym jest Caesar Rymarowicz. „Listy do pani Z.” wydało znane berlińskie wydawnictwo „Volk und Welt”, które też opatrzyło tom swoim postawieniem.

FRANCUZI O T. MAKOWSKIM

„La Semaine Polonaise” z dnia 29 sierpnia br. przynosi artykuł p. Tadeusza Domańskiego pt.: „Na tropach paryskich wspomnień - o Tadeuszu Makowskim”. Artykuł jest uzupełniony zdjęciami T. Makowskiego wykonanymi w różnych okresach jego życia oraz zdjęciami jego bliskiej przyjaciółki Rozalii Hemmer. Autor bardzo ciekawie

opisuje paryskie życie naszego wielkiego artysty, jego mieszkanie przy rue Vercingetorix, a przede wszystkim cytuje wypowiedzi malarza zaczerpnięte z jego dziennika.

T. Makowski, przyjaciel Władysława Mickiewicza i Ignacego Paderewskiego, całe życie tęsknił za Polską, a jego wspomnienia są przepojone miłością do Ojczyzny.

ZMARŁ JOHANNES BOBROWSKI

1 września br. zmarł w Berlinie wschodnim poeta i prozaik Johannes Bobrowski. Śmierć przysła niespodzianie. Johannes Bobrowski miał lat 48. Był to znakomity pisarz, znajdujący uznanie i wydawany w obojgu częściach Niemiec. Na Polaków interesuje on z tego jeszcze powodu, że będąc słowiańskiego pochodzenia, podejmował w swej twórczości motywy polskie. Już pierwszy tom jego wierszy ukazał się

pod szarmannym tytułem „Sarmatische Gedichte” (Poezje sarmackie) w 1961 roku. Potem wydał on zbiorek utworów pt. „Schattenland Stroeme” oraz powieść „Levins Muehle”. Johannes Bobrowski jest autorem dwu pięknych wierszy: „Joseph Conrad” i „Mickiewicz”. Urodził się na Litwie i wychował na styku dwóch, a właściwie trzech kultur: niemieckoliteńsko-polskiej.

